Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena zł 1.20

W NUMERZE:

wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok X — Warszawa, dnia 13 grudnia 1953 r. — Nr 50 (436)

WŁADYSŁAW UDALSKI

W REDAKCJI „GŁOSU GROMADY"

W POŁOWIE października, kiedy w kilku powiatach woj. łódzkiego uległ zahamowaniu planowy skup, redakcja „Głosu Robotniczego" zorganizowała ekipy dziennikarskie, zaopatrzone w ręczne drukarnie — i pchnęła je na najbardziej zagrożone odcinki. Mieliśmy wziąć udział w wielkiej batalii o wypełnienie dostaw, redagując gazetki gromadzkie na miejscu.

*

16 października.

Przyjechaliśmy do Prusinowic w pow. sieradzkim. Wioska, biorąc początek od zabudowań PGR, ciągnie się pół kilometra ku wschodowi, dalej rozgałęzia się w dwie strony, aby utonąć w zaroślach nad rzeczką.

Po kwadransie mieliśmy pierwszego „zwiadowcę". Wysoki, chudy chłop, w połatanej kapocie, z wiadrem w ręku obejrzał napis na samochodzie: „Odstawa zboża — to twój patriotyczny obowiązek" i od razu zaczął, jak z nut:

— U nas, panowie, ziemia licha. Zboża nie ma. Co odrosło, mróz spalił, Jakby było, to tak...

Nazajutrz kiedy już cała wieś wiedziała, że przybyliśmy „robić gazetę", ten sam chłop dopowiedział zawstydzony:

— A bo mówili, że po ukaraniu Zbijewskiego i Kubiaka, będą miastowi jeździć samochodem i zboże zabierać.

*

Nadchodził jesienny, wczesny zmierzch.

W naradzie redakcyjnej brał udział sołtys i... troje szkolnych dzieci. Przygnała je ciekawość. Z niesłabnącą uwagą wpatrywały się w kaszty drukarskie i pedałową maszynę; z niemniejszą łowiły każde nasze słowo.

Słów tych na początku narady nie było wiele. Rozważaliśmy w myślach wiadome już nam fakty. Przypomniałem sobie niedawne ostrzeżenie sekretarza KG z gminy Bortochów: Józef Niciejewski, z zawodu kolejarz, wyrażał czujność w zwrotach, w których pobrzmiewał albo kolejarski pedantyzm („siedem razy odmierz, nim raz odetniesz") albo czuj-duch zwrotniczego („jeden fałszywy krok, a całą sprawę zaprzepaścisz").

Odmierzałem więc „siedem razy"...

...W Prusinowicach większość średniaków, upełnorolnieni z reformy. Dostali ziemię dziedzica Krzyżanowskiego. Rokrocznie wywiązywali się z dostaw. Połowa gromady pracuje w przemyśle łódzkim, kształci dzieci, dorabia na miejscu w młynie i gorzelni.

„Jeden fałszywy ruch"... taki właśnie popełniło kolegium w gminie Bortochów. Sekretarz Niciejewski wytknął go ostro.

Prezydium GRN nie oddzieliło kułaka Swiątka od reszty oskarżonych. Dlatego chłopi na rozprawie milczeli.

W Prusinowicach ukarany został grzywną Adam Kubiak, „dziedzic" na 12 ha. Miał odstawić 56 q, odwiózł 12, podobnie J. Zbijewski, który w ubiegłym roku oszukał państwo i teraz znów probował.

Z rozłożonej listy zacząłem wyczytywać opóźniających się w dostawach zasobnych średniaków.

— Stanisław Pietras zalega — 24 q.

— Franciszek Szymczak — 20 q.

— A Szymczak, proszę pana, już trzeci rok kształci syna na technika w Pabianicach — wyrwał się z trójki dziecięcej Jaś Kujawa. — A Urbańskiego córka będzie nauczycielką, a Urbański już dawno zboże oddał...

— Jan Rulczak — 16 q.

— Rulczak ma dwie córki w Łodzi, w fabrykach — znów informował Jasio Kujawa.

— Stefan Kowalski...

— Frątczak...

— To mój tata — wyznała Marysia, trzecia z trójki.

Przyjrzałem się tym bystrym, zuchowatym podrostkom.

— Ho, ho, informacje jak od korespondentów, jeszcze tylko artykuł napisać a byliby z was redaktorzy.

— U nas w szkole jest radio. Uczyliśmy się piosenek i o różnych krajach. O gospodarstwie też były pogadanki, tośmy rodzicom opowiadali. Książki ładnie w radio czytali. Ale coś się popsuło i nie gra. To my prosimy, żeby w gazecie napisać: niech nam Komitet Rodzicielski naprawi radio... Gazety to my możemy roznieść po chałupach.

— Dobrze, będziecie kolporterami. Zbierz Jasiu, jak najwięcej kolegów i koleżanek. Pojutrze rano rozniesiecie.

*

17 października.

Zbieramy informacje na wsi.

Przodujący w odstawach cieszą się poważaniem. To ważne: mogą zostać agitatorami. Urbański ma trzy córki w przemyśle łódzkim, czwarta zostanie nauczycielką. Urbański powinien przekonać Kowalskiego i Rulczaka.

Sołtys Łukasiewicz. Ten zadał niedbałym rolnikom trudny orzech do zgryzienia. Posiada 2,7 ha, rodzinę dużą: żonę i sześcioro drobnych dzieci. Wiosną rzeczka wylała i wymoczyła mu żyto na polu. Ale sołtys głowy nie stracił. Zaorał pole, wziął kredyt, kupił nawozów sztucznych i posiał owies. Wyrósł, jak bór. Odstawił 125 proc. planu.

Witosławska (przodująca w skupie) zwróciła nam uwagę na kulturalne zaniedbanie gromady. Kino „zapomniało" o Prusinowicach; odczytów nie ma; biblioteki i świetlicy też. „Chłopi całą niedzielę łowią ryby albo rżną wieczorami w karty, a kobietom brak jakiejkolwiek godziwej rozrywki i nauki choćby dla gospodarstwa domowego. Mamy z gorzelni wywar, z buraków liście do tuczu świń; pono kukurydza dobra dla drobiu ale większego wyrobienia nam brak".

*

18 października.

Dzieciarnia czeka na odbiór gazety, tytuł: **„Głos Gromady"**. Sensacją dla nas i dla dzieci artykuł, jaki wysmażyła ósemka z 7-ej klasy. Wczoraj nam go wręczyli. Poszedł na pierwszej kolumnie.

List dzieci szkolnych
do gospodarzy naszej gromady.

„My uczniowie szkoły podstawowej w Prusinowicach składamy serdeczne podziękowanie obywatelom:

Marii Witosławskiej, Pawłowi Urbańskiemu, Janowi Łukasiewiczowi i Ignacemu Kolasie za to, że dobrze wywiązywali się z obowiązkowych dostaw zboża dla Państwa.

Rozumiemy, że kto odstawił zboże, ten dał Ojczyźnie chleb, a kto nie odstawił, ten ją skrzywdził.

Z naszej wsi wielu ludzi pracuje w łódzkich fabrykach, nasi bracia i siostry uczą się w szkołach, oni potrzebują chleba. Ale niektórzy gospodarze, jak: Jan Zbijewski, Józef Maciaszek, Stefan Kowalski, Franciszek Szymczak i inni ociągają się ze sprzedażą zboża Państwu, przynoszą wstyd gromadzie — i nam jest dlatego bardzo przykro.

W imieniu całej szkoły:
Poralczyk E., Szymczak B., Kopczyński M., Frątczak M., Łukasiewicz J., Klimczak J., Kolasa B., Gruda Z".

Dzieci nie wymieniły Kubiaka. Na pierwszej kolumnie choć podaliśmy wiadomości o wyrokach Kolegium, dotyczyły one innych gromad w gminie. O Kubiaku — „Przyszła kryska na Matyska" dopiero w środku numeru. Szło nam o to, aby w odczuciu czytających wystąpiła wyraźnie różnica między tym, który „gdy chce oszukiwać Władzę Ludową, poniesie zasłużoną karę" a tymi, którzy zwlekaniem „przynoszą gromadzie wstyd". Mieliśmy wieczorem 17-ego wiadomość, że Zbijewski — jak to określił Kuźnicki — „zdrętwiał" a Kubiak nadal wichrzy.

Dzieciarnia rozniosła gazety „migiem". 120 egzemplarzy utonęło we wsi, oczekującej w napięciu na drukowaną gazetkę gromadzką. Marysia Frątczak wymawiała ojcu, dlaczego on się ociąga, kiedy tata Basi Kolasówny odstawił zboże? Szymczak wyczytał podpis stryjecznego. Dzieci odegrały wielką rolę. Wzruszyło starych podziękowanie w liście, zawstydziła krytyka. Ci, co odczytywali siebie pod „i inni", Boga chwalili, że „ich druk ominął". Potęga druku!

240 egzemplarzy „Głosu Gromady" rozeszło się po innych wsiach gminy Zadzim. Nazajutrz wyjechaliśmy do gminy Wierzchy.

*

2[illegible] października.

Znów w Zadzimiu. Tego dnia wydana przez nas „Błyskawica" zamieszczała nowe wiadomości o Prusinowicach. 19 października sołtys Łukasiewicz zwołał zebranie. Była na nim cała gromada (oczywiście — dzieciarnia również w komplecie).

Wzięły w łeb teorie o słabości aktywu. Aktyw się znalazł. Przedyskutowano **„Głos Gromady"**. Kubiak został w opinii całkowicie izolowany. Zamożni średniacy poddani krytyce. Na koniec padło hasło manifestacyjnej odstawy na dzień 26 października.

Aktyw po gazecie wyrósł niemały. Cz. Siekierski, St. Kunicki, K. Kujawiak, Kopczyński, Kolasa, Witosław, Łukasiewicz, Urbański i przekonany już Kowalski.

Wynik pracy aktywu ogłaszała nasza „Błyskawica".

Wł. Udalski

Błyskawica

Zadzim, dnia 29 października 1953 r.



Ruszyli całą gromadą. Niezapomniany to był widok 34 wozy naładowane worami ciągnęły się na półkilometrowej długości. Nad nimi powiewał transparent.

„Gromada Prusinowice wiezie chleb dla Ojczyzny".

Na przedzie, za orkiestrą jechali ci, co już wywiązali się ze swych obowiązków — JAN ŁUKASIEWICZ, BRONISŁAW PAWŁOWSKI, IGNACY PAWLAK, ANTONI KOPCZYŃSKI. Za nimi żwawo podcinali konie ci, co niedawno jeszcze, otumanieni wrogimi plotkami — ociągali się z odstawą. Jechał SZYMCZAK, KOWALSKI, SOBOWSKI i inni. W ostatniej chwili przyłączyli się do nich: MARCZAK, MATUSIAK i PIETRAS. Pociągnęła ich gromada. Prusinowice wiozły 120 m zboża dla Państwa.

Cześć i uznanie należy im się za to!



Ale na tym nie wolno poprzestać. Trzeba do końca wypełnić swe obowiązki. Należy myśleć o nowym, lepszym życiu w gromadzie. Siła rąk chłopskich znajduje się we wspólnej pracy.



W dniu 6 grudnia 1953 r. zmarł jeden z najwybitniejszych polskich poetów
KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

NA SMIERĆ K. I. GAŁCZYŃSKIEGO

Żegnaj, Konstanty mój kochany,
Żar-ptaku, który nam śpiewałeś,
Co niespodzianie przyfrunąłeś
I niespodzianie odleciałeś

Po Tobie jasność nam została,
Choć zniknąłeś za żałobną chmurą.
Ta jasność — Twoja pieśń rzucona
Na ziemię jak złociste pióro.

A podniósł ją nasz kraj ludowy,
Co Cię do pieśni czystej natchnął,
Z którego zaczerpnąłeś całe
Ostatnie swe serdeczne światło.

Zeby od mroku zapomnienia
Ocalić wszystkie nasze sprawy,
Chmurę na czole, kwiaty w oknie,
Serce i każdy dom Warszawy.

Bo to poety rzecz — rozpalać
Płomień pamięci w nieskończoność,
A rozpaliwszy go, samemu
W tym nieśmiertelnym ogniu spłonąć.

Żegnaj, Konstanty mój kochany,
Ty — skrzypce z najczulszego drzewa:
Choć ogień skrzypce te spopielił,
Ich popiół nadal ludziom śpiewa.

DYSKUSJA NAD TEZAMI IX PLENUM KC PZPR

JAN WRÓBLEWSKI

GŁOS BIBLIOTEKARZA

„WIERZĘ, że dyskusja, którą towarzysze rozwiną wokół tez wysuwających szereg nowych ważnych zadań, dopomoże kierownictwu partii i wszystkim jej organizacjom we właściwym ustawieniu tych zadań i w dalszej ich realizacji". (Bolesław Bierut).

Niejeden pracownik kultury, przeczytawszy tezy, powie: przecież mówi się o nich przeważnie o rolnictwie. Jest to pogląd niesłuszny. Gdy mówi się o bazie, nie można przemilczać współzależności nadbudowy — powiedział tow. Stalin.

Niedocenianie tej współzależności daje się szczególnie zauważyć na szczeblu gromad, gmin i powiatów. Wina za to obciąża pracowników kulturalnych i władze terenowe; nie orientują się oni, jaką rolę odgrywa kultura w tworzeniu nowego życia.

Prezydia rad narodowych traktują sprawy kulturalne i samych pracowników, jako „zło konieczne". Interesują się nimi zazwyczaj tylko wtedy, gdy jednostka nadrzędna zażąda sprawozdania z tej dziedziny, a więc raz lub dwa do roku.

Pracownicy aparatu kulturalnego (chodzi mi szczególnie o bibliotekarzy) często nie orientują się jakie są ich zadania, ograniczając się do mechanicznego wypożyczenia książek i jakiej takiej dekoracji lokalu. A przecież Lenin nazwał bibliotekarzy **„żołnierzami rewolucji kulturalnej, która objęła nasz kraj i bez której socjalizmu nie zbudujemy".**

Jerzy Putrament w dyskusji nad tezami mówił o fantastycznych cyfrach nakładu książek w Polsce Ludowej. Od nakładu jednak do czytelnictwa droga jest daleka.

Tysiące okrytych kurzem książek spoczywa na półkach naszych bibliotek. A wieś chce czytać. Trzeba tylko te książki dostarczyć na wieś i przekazać czytelnikowi.

Szczególnie po macoszemu traktuje się książki popularno-naukowe i rolnicze. A wieś ich najwięcej pragnie.

Bibliotekarz z terenu opowiadał mi o werbunku do IV etapu konkursu czytelników wiejskich w gm. Biała, pow. Pisz. Wieś na ogół chętnie zgłasza swój udział, ale zdarzają się i wypadki negatywne. Oto w pewnej gromadzie jedna z gospodyń sama nie chciała wziąć udziału w konkursie i nie dopuściła do uczestnictwa męża. Wtedy bibliotekarz zaczął z innej beczki:

— Czy świnie i kury wam zdychają — zapytał.

— Zdychają i to jeszcze jak!

— Chcielibyście temu zapobiec? — pytał dalej szczwany bibliotekarz.

— A któżby nie chciał!

— W książkach konkursowych są takie, z których można się dowiedzieć, jak zapobiec chorobom świń i kur.

Jaki był rezultat? Wspomniana gospodyni zapisała się na konkurs i czym prędzej wysłała męża do punktu bibliotecznego po książki.

Komentarze zbyteczne.

Tow. Jan Klecha powiada: „Chłop do socjalizmu żywiołowo nie przyjdzie. Idąc do chłopa, wiążąc się z nim w walce o wzrost produkcji rolnej, musimy go **wychować...** Na nas przypadło to zadanie, z którego niestety nie zawsze się wywiązujemy. Idziemy do chłopa, przemawiamy do niego częstokroć niezrozumiale — zamiast wykazać mu słuszność naszej polityki faktami wziętymi z życia: takimi, które widzi własnymi oczyma".

Tow. Klecha słusznie podniósł konieczność stworzenia specjalnych bibliotek agronomicznych; zanim jednak do tego dojdzie, jest możliwość natychmiastowego rzucenia w teren masy książek rolniczych, zalegających półki bibliotek wojewódzkich i powiatowych.

Tezy stawiają wielkie zadania przed inteligencją pracującą na wsi. „Nauczyciele, pracownicy służby zdrowia, agronomowie, zootechnicy, mechanizatorzy i pracownicy instytucji kulturalnych powinni odegrać poważną rolę w walce o wzrost produkcji rolniczej i o socjalistyczną przebudowę wsi".

Jeżeli chodzi o powiat Pisz, to ma on większe zadanie i trudniejszą robotę w podnoszeniu produkcji rolnej. Gleba jest tu lekka, piaszczysta. Dlatego szczególnie tu trzeba wzmóc walkę o większe urodzaje, o wzrost produkcji rolnej, by pokazać chłopom mało- i średniorolnym, jak można za pomocą metod naukowych osiągnąć większe plony i obalić mit o coraz mniejszej urodzajności gleby. Aby podnieść hodowlę, trzeba zachęcić chłopów do uprawy koniczyny i pasz treściwych, trzeba pokazać iż osiągnięcia rolników radzieckich, to nie wymysł książek, ale fakt namacalny.

Rewolucja kulturalna nie ominęła pow. Pisz. Gdy w r. 1949 mieliśmy 4 gminne biblioteki i 18 punktów bibliotecznych, dziś mamy 10 gminnych i 65 punktów bibliotecznych oraz 20 punktów specjalnych.

Mamy już w terenie przykłady dobrej pracy kulturalnej. Świetlica gminna w Starych - Gutach urządza pogadanki na tematy rolnicze, ilustrując je przezroczami. Skupia ona zarówno członków spółdzielni, jak i chłopów indywidualnych. Dobrze pracują tam zespoły: artystyczne i czytelniczy. Świetlica poglądowo wykazuje wzrost dniówki obrachunkowej z każdym rokiem, co wiąże się ze wzrostem produkcji rolnej w spółdzielni. Świetlica żyje życiem gromady i uczestniczy w każdej kampanii politycznej i gospodarczej. W czasie żniw zmobilizowała zetempowską brygadę szturmową do pomocy w zbiorach spółdzielni.

Wiosną spółdzielcy podjęli zobowiązania wykonania siewów przed terminem. Kierownik świetlicy ob. Zieliński umieścił zobowiązanie w „Błyskawicy". To tak zmobilizowało spółdzielców, że pracowali do późnej nocy, byleby przekonać chłopów indywidualnych, że co zaplanują potrafią zrealizować.

Tow. Stanisław Krupa w dyskusji powiedział: — Aby przyśpieszyć wzrost produkcji roślinnej, musimy w większym niż dotychczas stopniu wykorzystać filmy, odczyty, szkolenie zawodowe, popularyzację osiągnięć spółdzielni produkcyjnych, przodujących chłopów — dla przekonania wsi o możliwości podniesienia dotychczasowego poziomu gospodarczego. — Chciałbym dodać, że istnieje jeszcze jeden środek: książka. Książka rolnicza i książka z dziedziny literatury. Mamy bardzo ładne i przekonywające książki radzieckie; mówią one o walce człowieka radzieckiego nad podniesieniem plonów, o mistrzach urodzaju.

Chłop z natury jest nieufny; często prędzej zaufa książce niż agitatorowi. Książka porwie go do czynu. Jest mu ona bardzo bliska, bo mówi o takich ludziach, jak on sam. Dlatego nie wolno nam lekceważyć tej bezpośredniej propagandy.

Jesień 1953 r. w pow. Pisz na odcinku kulturalno - oświatowym przyniosła pewne sukcesy. Zaznaczył się ruch w używotnianiu świetlic, zespołów artystycznych, przede wszystkim zaś w tworzeniu zespołów czytelniczych zorganizowanego przez ZSCh IV etapu konkursu czytelniczego. Obecnie mamy ponad 130 zespołów czytelniczych, w porównaniu z zeszłym rokiem jest to osiągnięcie bardzo duże. (W III etapie nie mieliśmy ani jednego zespołu). Łączna liczba zwerbowanych chłopów do konkursu wynosi ponad 2700, stanowi to około 170 proc. wykonanego limitu.

W zespołach czytelniczych między innymi będziemy czytać książki rolnicze i przeprowadzać dyskusje nad ich treścią, co niewątpliwie wpłynie na podniesienie wydajności gospodarstw chłopskich w powiecie.

Postaramy się lepiej wykorzystać dla szerokiej propagandy agronomicznej nasze powiatowe domy kultury, radiowęzły, świetlice, zespoły artystyczne dla upowszechnienia wiedzy rolniczej. Będziemy szerzej wykorzystywali nasze szkoły, biblioteki, zespoły czytelnicze.

Wspólne przedyskutowanie tez IX Plenum przez bibliotekarzy pow. piskiego, zobowiązanie do wzmożenia naszej pracy na odcinku kulturalno-oświatowym, dążenie do ściślejszego jej powiązania z życiem gospodarczym — oto środki już przez nas stosowane do wykonania tego zadania.

Jan Wróblewski

OD REDAKCJI

Następny numer tygodnika „Wieś" z datą 20 — 27 grudnia ukaże się w dniu 18 bm. w zwiększonej objętości.

Cena numeru 1 zł. 50 gr.

* TEZY * PRZEDZJAZDOWE

Wiejskie światła

Jeden z moich znajomych z racji swoich obowiązków dużo podróżuje po kraju. Zdarzyło się, że któregoś wieczoru jechał pociągiem po trasie, której dłuższy już czas nie przemierzał. Że pora była wczesna i spać się jeszcze nie chciało, wyszedł na korytarz, by odetchnąć strumieniem świeżego powietrza, wpadającego przez otwarte okno. Znał dobrze te okolice, a jednak poczuł wkrótce, że zaczyna tracić orientację, że pod powieki cisną się jakieś nowe wrażenia, których pamięć dotychczas nie zanotowała. Trwało to dłuższą chwilę, nim zorientował się, że tymi nowymi wrażeniami były liczne, jasne światła, wesoło rozbłyskujące w mijanych jedna za drugą wsiach. Światła, których niedawno jeszcze na całej długiej trasie trudno byłoby szukać.

Elektryfikacja zmienia nie tylko nocne oblicze wsi. Jest także coraz częściej przejawem i motorem tych wielkich przemian, którymi rewolucja z każdym dniem przekształca życie naszego kraju. I niekoniecznie dla uzmysłowienia sobie tych przemian trzeba od razu sięgać do tak ważkich faktów, jak 6,5 miliona ha ziemi, rozdzielonych w ręce chłopskie, pomoc kredytowa i rzeczowa państwa w ziarnie, bydle, budulcu itp. Warto natomiast przypomnieć inne fakty. Na przykład podatki! Któż potrafi wyliczyć nazwy blisko stu podatków ciążących za kapitalizmu, jak kamień grobowy na gospodarce chłopów pracujących?

Rozumie się, że nie można w żaden sposób obecnego sprawiedliwie rozłożonego i niewysokiego podatku porównać z przedwojenną grabieżą. A mimo to również i w tej dziedzinie chłopi doznają poważnej pomocy władzy ludowej. Tezy do dyskusji przed II Zjazdem PZPR proponują bowiem: „zmniejszyć, poczynając od roku 1954 progresję podatkową dla gospodarstw chłopskich na niektórych słabiej zagospodarowanych terenach... wprowadzić indywidualne ulgi podatkowe dla gospodarstw, których stan zagospodarowania jest szczególnie słaby i które zobowiążą się do osiągnięcia w określonym terminie właściwego stanu zagospodarowania".

I to jest właśnie ta humanistyczna, piękna, głęboko ludzka istota naszego państwa. Nieść pomoc... Zagroda chłopska przestała być obiektem wyzysku władzy burżuazyjnej, która pozwalała jej istnieć dopóty, dopóki można było z niej cokolwiek wycisnąć. Zagroda chłopska stała się natomiast przedmiotem troski i pomocy władzy ludowego państwa. Pomocy w uzyskiwaniu coraz pomyślniejszych rezultatów gospodarczych, w podnoszeniu produkcji rolniczej i zwierzęcej — by tym samym prędzej i łatwiej zaspokoić rosnące potrzeby ludzi pracy w całym kraju.

Obecna produkcja rolnicza jest w przeliczeniu na 1 mieszkańca o 1/3 większa niż przed wojną. Tezy w krótkich, niemal suchych słowach, porównują te sukcesy z dwudziestoleciem rządów obszarniczo - kapitalistycznych, którym nigdy nie udało się osiągnąć produkcji z r. 1913.

Dzisiejsza Polska nie jest tym dawnym organizmem, który przestał się rozwijać i niezdolny był do kroczenia naprzód. Przypomina raczej — by posłużyć się znanym porównaniem wicepremiera Minca — młodego człowieka, który nadzwyczaj szybko rośnie i ciągle wszystkiego mu mało. Potrzebuje on coraz to więcej najrozmaitszych artykułów, których przy jego tempie wzrostu nie zawsze można na czas dostarczyć. Dotyczy to szczególnie rolnictwa. Stąd też nie poprzestajemy na osiągnięciach naszej gospodarki rolnej, ale mówimy: mało! mówimy: źle! — bo kraj nasz nie ma pod dostatkiem artykułów rolniczych, a fakt ten utrudnia i hamuje jego dalszy wzrost.

Widać z tego, że potrzeby młodego, rozwijającego się organizmu nie były równomiernie zaspokajane. O ile przemysł dał mu w ciągu bieżącego roku ponad dwukrotnie więcej niż w roku 1949, to rolnictwo zdobyło się jedynie na podwyższenie swej produkcji o 9%. Tezy więc domagają się od rolnictwa zwiększenia produkcji przynajmniej o dalszych 10% — i to w ciągu najbliższych dwóch lat. Dla realizacji tego celu państwo przeznacza szeroki wachlarz najrozmaitszych środków. Popłyną na wieś jeszcze szerszym strumieniem kredyty i nawozy, materiały budowlane i maszyny rolnicze.

Ale byłoby głębokim błędem ograniczanie tez tylko do dziedziny produkcji dóbr materialnych. W toczącej się obecnie dyskusji przedzjazdowej pisze na łamach „Trybuny Ludu" gospodarująca indywidualnie chłopka, Janina Zaleska, z grom. Stara Rawa w pow. skierniewickim:

„Przyznam się..., że jeszcze za mało umiem i mało umieją nasi chłopi. Nawozy i siewniki — to jeszcze nie wszystko". Jest to niesłychanie ważna uwaga. Tezy wzmogły pęd do nauki, do książki i gazety, która pomoże w gospodarowaniu i pokaże jak lepiej i pełniej żyć. Postawiły one zatem jeszcze wyższe zadania przed bibliotekami i świetlicami, kinami wiejskimi i radiowęzłami, zespołami artystycznymi i oświatowymi.

Zbliża się wieczór. W co czwartej wsi w Polsce ręce wolne od ciężkiej pracy fizycznej zapalają jasne światło elektryczne, sięgając po gazetę lub książkę. Za dwa lata będzie tak w co trzeciej wsi. Mówią to Tezy.

K. Z.

BEZ FRAZESÓW — PRAWDZIWE

W Moskwie na naradzie redaktorów i kierowników wydziałów rolnych prasy obwodowej, krajowej i republikańskiej, zwołanej przez KC KPZR, wygłosił przemówienie sekretarz KC KPZR — N. S. Chruszczow.

Poniżej zamieszczamy fragmenty tego przemówienia:

ZWIĄZEK Radziecki ma niewyczerpane możliwości jak najszybszego rozwoju wszystkich działów rolnictwa, by w ciągu najbliższych lat zaopatrzyć w pełni ludność w artykuły żywnościowe, a przemysł lekki w surowce. Cała sprawa polega na tym, by możliwości te i rezerwy uruchomić, zorganizować walkę o całkowite ich wykorzystanie. W tej dziedzinie właśnie otwiera się przed prasą radziecką pole do szerokiej, głębokiej i wszechstronnej działalności.

...Należy stwierdzić, że organizacja pracy w świetle wymagań wysuniętych przez wrześniowe plenum KC Partii odbywa się jeszcze zbyt wolno. Dzienniki i czasopisma przedstawiają częstokroć sprawę tak, jak gdyby wszystkie zadania, postawione przez plenum Komitetu Centralnego zostały już rozwiązane. Taka niefrasobliwość może tylko przynieść szkodę. Trzeba podjąć aktywną walkę z niedociągnięciami.

...Rola prasy w całej naszej pracy jest ogromna. Aby pomyślnie spełnić tę rolę, pracownicy dzienników i czasopism powinni głębiej wnikać w istotę nasuwających się zagadnień, pisać ze znajomością rzeczy, konkretnie. Obowiązkiem prasy jest — z całą ostrością odsłaniać niedociągnięcia w naszej pracy, obnażać braki i czynić to w ten sposób, by mobilizować ludzi do przezwyciężenia tych niedociągnięć, pobudzać szerokie masy pracujące do rozwijania zdrowej krytyki.

Zdarza się nieraz, że materiały w gazetach wyglądają malowniczo — sądząc z tytułów, wydawałoby się, że w gazecie jest wszystko, ale w gruncie rzeczy nie ma tam prawie nic. Spróbuj no powiedzieć redaktorowi takiej gazety, że nie oświetlił tego czy innego tematu. Odpowie ci, że to nieprawda i od razu wymieni tytuły i artykuły dotyczące tych zagadnień. Ale czy wiele pożytku, czy wiele sensu mają niektóre artykuły, jeżeli niezrozumiałe jest, jaki cel stawia sobie redakcja, do czego zmierza ogłaszając ten czy inny artykuł lub korespondencję. Jeśli już redakcja postanowiła zabrać głos w jakiejś ważnej sprawie, powinna przestudiować ją głęboko, aby ogłaszany w gazecie materiał był wyczerpujący i solidny, aby zwracał uwagę czytelnika, przynosił korzyść przewodniczącemu kołchozu, brygadziście, każdemu czytelnikowi, który naprawdę głęboko interesuje się rolnictwem. Od redaktora wymaga się umiejętności właściwego doboru współpracowników pozyskiwania dla dziennika lub czasopisma ludzi znających się na rzeczy. Powinien on sam rozumieć, jak trzeba rozwiązywać postawione zadanie, powinien umieć wyszukać ludzi myślących, wykorzystać doświadczenia nagromadzone przez naród.

...Pracownicy dzienników i czasopism powinni dobrze znać, głęboko studiować zagadnienia, o których piszą. Wielu naszym gazetom przeszkadza krzykliwość, pogoń za szumnymi frazesami. Trzeba oczywiście umieć zatytułować artykuł tak, by nagłówek zwracał uwagę czytelnika, mobilizował, ale należy przestrzegać bezwzględnej reguły, że tytuł powinien odpowiadać treści artykułu, że materiał podany przez gazetę powinien być przekonywający, uzasadniony. Pracownicy gazet powinni umieć dobierać materiał treściwy, żywy, ciekawy i pouczający. Trzeba zdecydowanie wyplenić z łamów gazet zakorzenione szablony, utarte schematy, pisanie o wszystkim na jedną modłę. Oto gazety zaczęły umieszczać porównawcze opisy pracy dwóch kołchozów. Jest to dobra metoda. Trzeba jednak urozmaicać materiały, myśleć więcej o treści i formie podawania materiałów w dziennikach i czasopismach.

Pracownicy prasy powinni zawsze pamiętać, że dla skutecznej pracy gazet wielkie znaczenie ma autentyczność faktów, zgodny z prawdą opis zjawisk i wydarzeń, żywy i obrazowy język, urozmaicona forma podawania materiałów.

Nie mamy — mówi N. S. Chruszczow — silniejszego, skuteczniejszego oręża niż nasza prasa. Prasa — to najbardziej dalekonośna broń ideowa naszej partii. Jeżeli będziemy dobrze dobierać materiały dla dzienników i czasopism, będziemy mogli trafiać w cel na odległość wielu tysięcy kilometrów, odsłaniać niedociągnięcia we wszystkich zakątkach naszego ogromnego kraju. Kto więc nie docenia prasy, osłabia nasze siły.

Trzeba głębiej, treściwiej, ze znajomością sprawy pisać o rolnictwie, o wcielaniu w życie uchwał wrześniowego Plenum KC KPZR.

Sprawy wielkiej dyskusji

SPOTKANIA

Zwiedzającemu Londyn gościowi z Polski pokazano Hyde Park. Było to w godzinach przedpołudniowych, kiedy w fabrykach, biurach i instytucjach trwa praca. Wokół prowizorycznych mównic, z których przemawiali stale urzędujący w parku przedstawiciele sekt religijnych, każdy na swój sposób, zachwalając najlepsze urządzenia niebieskie i najlepsze metody życia wiecznego, według recepty wyznania reprezentowanego przez mówcę — gromadziły się mniejsze i większe grupki ludzi w skromnych na ogół ubiorach.

— Widzi pan, — mruknął leniwie oprowadzający gościa pastor, Anglik, — u nas ludzie szeroko dyskutują o swoich sprawach.

— O swoich? Wydaje mi się, że to chodzi o sprawy zaziemskie?

— No, tak — zdziwił się pastor, — właśnie, to przecież kwestia wolności.

Polak uśmiechnął się i zapytał:

— Wybaczy pan, skąd ci ludzie mają tyle czasu? Przecież to są godziny pracy?

— Ach, — Anglik wzruszył ramionami, — to są bezrobotni.

W Anglii choć wolno dyskutować w Hyde Parku o drogach życia zaziemskiego, nie bardzo wolno walczyć o otwarcie szerokich i jasnych dróg ludzkiej pracy. Za to można łatwo stracić posadę i powiększyć liczbę tych, którzy z braku zajęcia słuchają kaznodziejów w londyńskim ogrodzie miejskim. Fachowców od spraw nie z tego świata

Bardzo skomplikowane jest burżuazyjne pojęcie swobody. Życie wieczne i życie wiecznie bez pracy. Nie na nasze potrzeby taka wolność, taka „swoboda wypowiedzi".

U nas trwa coraz szersza, wielka, obejmująca chłopów i robotników, pisarzy i naukowców — dyskusja o Tezach IX Plenum KC PZPR, dyskusja przed II Zjazdem Partii. Na gazetowych kolumnach, w audycjach radiowych, na zebraniach ludzie swobodnie mówią o tym, jak zrealizować Tezy IX Plenum Partii. Jak zrobić, żeby było więcej jedzenia i więcej mebli, więcej książek i radioaparatów, więcej maszyn i więcej ubranek dziecinnych, aut i samolotów, garnków i kryształów, więcej szkół i kin, stadionów sportowych i teatrów. I mówią to ludzie z produkcji, z roli, z laboratoriów i scen teatralnych. Fachowcy spraw doczesnych

Ładna historia — mógłby powiedzieć kaznodzieja z Hyde Parku. — Też mi wolność! Co to za wolność, kiedy pozwalą się im mówić tylko o coraz lepszym urządzaniu ziemskiego świata?

Nam się jednak wydaje, że zostawiwszy księżom w kościołach prawo do głoszenia tajemnic nieba, podstawowy obowiązek na ziemi — to dążenie do własnego szczęścia w życiu doczesnym. I temu przekonaniu daje wyraz wielka dyskusja nad Tezami IX Plenum. Dyskusja, w której spotykamy się wszyscy.

*

W wielkiej dyskusji nad Tezami IX Plenum Komitetu Centralnego mówi się bardzo dużo o wsi. Kierownik Wydziału Ekonomicznego Komitetu Wojewódzkiego w Bydgoszczy pisał niedawno o powołaniu przez grudziądzką organizację partyjną zespołów partyjnych, złożonych z robotników mieszkających na wsi z jednej gminy lub gromady. Podobną inicjatywę przejawiają dyskutanci z Krakowa i Gliwic.

Ale przede wszystkim mówią sami chłopi, zabiera głos inteligencja wiejska, aktywiści gminni, aktywiści ze spółdzielni produkcyjnych i PGR.

Przewodniczący spółdzielni produkcyjnej z województwa łódzkiego, Balwas, pisał w „Głosie Robotniczym" o złej pracy POM, jako jednej z przyczyn zahamowania wzrostu spółdzielczości produkcyjnej jego terenu.

Sekretarz gromadzkiej POP, Ludwik Pakiet, ze szczecińskiego omawiał rolę organizacji partyjnej w walce o wyższe plony, a agronom POM z koszalińskiego poruszył w terenowej gazecie kwestię rezerw w spółdzielniach produkcyjnych.

W dyskusji naukowcy poruszyli już i sprawę kadr naukowo-rolniczych i sprawę rejonizacji produkcji rolniczej i indywidualnej. Inni zajmowali się bazą paszową swoich terenów i hodowlą. Padły głosy o doświadczeniach miczurinowskich w polskim rolnictwie. Narasta dyskusja z każdym dniem.

I oto czytającemu gazety jakieś nazwisko dyskutanta przypomina dawne lata. Któż to ten inżynier podpisany pod obszerną wypowiedzią o budownictwie mieszkaniowym?

Racja, toż to kolega sprzed ćwierćwiecza niemal. Pamiętam — był blondyn, powolny w ruchach, flegmatyk; miał zawsze plamy na portkach, nie sięgających kolan.

A to kto ów przewodniczący spółdzielni? Zaraz — przecież spotkaliśmy się przypadkowo nocą, na jakiejś leśnej drodze, kiedy wokoło szalała hitlerowska akcja oczyszczania terenu z partyzantów. Słusznie, to właśnie on. Był wtedy w A. K. Patrzcie, jak rosną ludzie!

Nazwisko nadleśniczego nasuwa inne wspomnienia: Był wtedy gajowym i uciekł w nocy pół nago z gajówki, goniony przez żandarmerię i N.S.Z. To chyba był rok 1943. 10 lat. Tak.

Spotkania z przyjaciółmi, kolegami, znajomymi przybliżają do nas wielką dyskusję, zaczyna się ona toczyć w każdym domu, zbliża ludzi dawno niewidzianych, zbliża ludzi nieznanych sobie, ożywia serca i rozumy, tworzy w kraju nastrój serdeczności, rodzinny nastrój przyjaciół budujących własny, na miarę wieków — dom. Ojczyznę.

I właśnie o taką dyskusję chodzi.

Dlatego zwracamy się do przyjaciół bliskich i dalekich, znajomych i nieznajomych: mówcie, dyskutujcie, piszcie, wykorzystując pomoc swych organizacji, swych zakładów pracy, swojej prasy terenowej.

Jest wiele bolączek na wsi. I wiele z nich nie znalazło jeszcze oddźwięku w dyskusji. Jeszcze nie mówiliśmy o współzawodnictwie pracy na wsiach polskich, jeszcze niewielu zabrało głos indywidualnych gospodarzy, średniaków i małorolnych, jeszcze nie dość mocno wytknięto błędy rad narodowych i organizacji partyjnych w pracy nad umocnieniem sojuszu robotników i chłopów.

Jeszcze za mało słyszymy o walce z kułactwem, o walce z kułacką propagandą, o przekonywaniu tych którzy kułakom ulegają.

Mówmy o naszych sprawach gospodarskich, bo one tworzą największą naszą sprawę — Polską Rzeczpospolitą Ludową. I to jest nasza wolność, wolność gospodarzy kraju, spotykających się na stronicach pism i gazet w wielkiej dyskusji o dobrobycie, który budujemy.

K. D.

TOMASZ ATKINS

Sprawy międzynarodowe

Sztandar nad „La Pignone"

Słowo strajk przywodzi na myśl zamknięte wrota fabryk, opustoszałe hale, unieruchomione maszyny, głód w mieszkaniach robotniczych. Ale w zakładach metalurgicznych „La Pignone" we Florencji jest inaczej. „Fabryka strajkuje" — głosi napis nad bramą zakładów, ale ruch jest większy niż kiedykolwiek. Robotnicy pracują przy swoich warsztatach, nie odchodzą nawet od nich na noc W warunkach włoskich słowo strajk nabrało nowego znaczenia — kiedy zakłady produkują wbrew woli fabrykanta.

Sprawa zakładów „La Pignone" stała się głośna w całych Włoszech. Jest ona bowiem charakterystyczna dla nowej sytuacji jaka wytworzyła się w tym kraju. I dlatego warto zapoznać się z nią szerzej.

Zakłady metalurgiczne „La Pignone" we Florencji należą do wielkiego monopolu „Snia Viscosa". Jest to monopol - gigant, monopol międzynarodowy, w którym zgodnie pracują obok siebie kapitał angielski i włoski, amerykański i watykański. Od roku 1947 do roku 1951 zyski „Snia Viscosa" skoczyły sześciokrotnie, z niecałych 800 milionów lirów do przeszło czterech i pół miliarda lirów rocznie. I mimo tych ogromnych zysków „Snia Viscosa" postanowiła zamknąć swoje zakłady metalurgiczne we Florencji. Dlaczego?

Odpowiedź, z punktu widzenia włoskich i międzynarodowych kapitalistów, którzy są właścicielami „Snia Viscosa", jest nader prosta. Ogromne zyski wyciśnięte z pracy robotników włoskich wywiezione zostały z Włoch i posłużyły do budowy nowych zakładów w Ameryce Południowej, w Hiszpanii i w innych krajach, gdzie monopolistom produkcja opłaca się jeszcze lepiej. I dlatego zakłady we Włoszech postanowiono zlikwidować.

Jednakże monopoliści nie liczyli się z prawdziwymi gospodarzami zakładów — z załogą robotniczą. Robotnicy „La Pignone" wystąpili w obronie zakładów, w obronie swego prawa do pracy, w obronie majątku ogólnonarodowego jakim jest przemysł Nie po to robotnicy „La Pignone" z narażaniem własnego życia bronili zakładów przed zniszczeniem w 1944 r., kiedy cofające się wojska hitlerowskie chciały je wysadzić w powietrze, aby teraz zakłady te miały ulec likwidacji na rozkaz bandy międzynarodowych giełdziarzy. Robotnicy „La Pignone" postanowili fabryki nie opuszczać, postanowili — kiedy dyrekcja zakładów uciekła — sami uruchomić produkcję.

Z pomocą strajkującym robotnikom pospieszyła cała ludność Florencji. Robotnicy innych zakładów ofiarowali swe całodzienne zarobki na fundusz dla strajkujących. Chłopi całymi tonami zwożą żywność dla strajkujących i ich rodzin. Spółdzielnie konsumentów otworzyły kredyt dla strajkujących w wysokości 5 miliardów lirów na zakup artykułów pierwszej potrzeby. Akcję strajkujących poparł zarząd miejski Florencji, Izba Pracy, wszystkie związki zawodowe, wielu księży związanych z ludem, duża część miejscowych kupców a nawet niektórzy fabrykanci, których produkcja uzależniona jest od dostaw z „La Pignone" Pod naciskiem opinii publicznej również większość deputowanych w Izbie Posłów opowiedziała się za natychmiastowym rozpatrzeniem projektu przewidującego wywłaszczenie fabryk unieruchomionych przez właścicieli.

Nie przypadkiem sprawa „La Pignone" nabrała takiego rozgłosu. Bo nie jest to wypadek odosobniony. W Turbig miała zostać unieruchomiona fabryka włókiennicza, ale robotnicy fabryki nie opuścili i Robotnicza Rada Techniczna produkcję wznowiła. W Cianciano miała zostać zalana kopalnia siarki, ale górnicy dniem i nocą pozostają w podziemiu, aby kopalnię uratować przed zatopieniem Wielki kapitał, wielka burżuazja włoska, jawnie i otwarcie zdradzają najżywotniejsze interesy narodowe Za współudział w zyskach zagranicznych monopoli, rujnują przemysł krajowy, zwiększają bezrobocie, nędzę i głód mas pracujących. Jest to konsekwencja polityki, która wciągnęła Włochy do paktu atlantyckiego i podporządkowała je Stanom Zjednoczonym. Robotnicy, klasa robotnicza Włoch, występując w obronie mordowanego przemysłu bronią nie tylko własnych interesów — bronią oni interesów całego narodu, bronią siły gospodarczej i niezależności swej Ojczyzny. I dlatego sztandar, który powiewa nad „La Pignone" urasta do rozmiarów symbolu Burżuazja sztandar niezawisłości narodowej — jak mówił Stalin — wyrzuciła za burtę. Klasa robotnicza sztandar ten podniosła i wciągnęła wysoko na maszt.

Czerwone sztandary zwycięskiej walki o prawo do pracy, o prawo do współgospodarzenia krajem, powiewają nie tylko nad fabrykami i kopalniami we Włoszech. Coraz częściej zatykają je na ziemiach obszarniczych chłopi włoscy. W okręgach Matera i Caltanissetta, Agrigento, Foggia i Viterbo tysiące chłopów zajęło ziemie leżące odłogiem. W wyniku wielkich walk chłopskich w 1949 roku reakcyjny rząd włoski zmuszony był przyjąć ustawę o reformie rolnej i obiecał przeprowadzenie parcelacji części ziemi obszarniczej. Ale obietnica pozostała tylko obietnicą. I teraz chłopi włoscy znów podejmują walkę, jeszcze bardziej zdecydowaną, jeszcze bardziej ostrą.

Walka chłopów o ziemię, walka robotników o fabryki i kopalnie — to dwa nurty wspólnej walki o uratowanie Włoch przed katastrofą, ku której pędzi kraj polityka burżuazji. Nowe formy tej walki i wzajemna pomoc robotników i chłopów, to wyraz ogromnego wzrostu świadomości klasowej, wyraz rosnącej siły i organizacji klasy robotniczej i pracujących chłopów. Już teraz w ogniu wielkich bojów klasowych robotnicy i chłopi Włoch, prawi gospodarze kraju, stają się jego rzeczywistymi gospodarzami. W tym tkwi wielkość i znaczenie akcji robotników z „La Pignone" i chłopów z Caltanissetta.

Tomasz Atkins

Z radzieckiej wsi

Moskiewska „Prawda" poświęciła ostatnio specjalny artykuł wstępny propagandzie rolniczej, traktując ją jako ważne zadanie partyjne i państwowe. „Dla dalszego rozwoju rolnictwa — stwierdza dziennik — upowszechnianie osiągnięć nauki i przodujących doświadczeń posiada wyjątkowe znaczenie". Artykuł poddaje krytyce braki i niedociągnięcia w tej dziedzinie popełnione przez szereg instancji odpowiedzialnych za rozwój rolnictwa. Organizacje te „zapominają, że kierować rolnictwem, to znaczy przede wszystkim studiować, uogólniać i rozpowszechniać przodujące doświadczenia i osiągnięcia nauki. Kierownicy organów partyjnych i państwowych powinni nie tylko mówić o ważności szerzenia przodujących doświadczeń, ale muszą też sami poznawać te doświadczenia i być aktywnymi organizatorami przyswajania ich przez wszystkie kołchozy".

Podkreślając ważną rolę prasy w tej dziedzinie i jej dotychczasowe osiągnięcia „Prawda" zwraca uwagę, że wiele terenowych gazet i wydawnictw nie przejawia dostatecznej troski w upowszechnianiu przodujących doświadczeń. Organ KC PZPR krytykuje ukazywanie się powierzchownych, napisanych bez dokładnej znajomości rzeczy artykułów o osiągnięciach kołchozów. Ze szczególną siłą dziennik piętnuje niegodne prasy radzieckiej obyczaje podawania lichych wypracowań poszczególnych pracowników redakcyjnych, jako artykułów przodowników rolnictwa.

Mówiąc o konieczności powiększenia masowej literatury rolniczej „Prawda" domaga się wzmożenia kontroli nad kolportażem, fakty bowiem świadczą, że wiele cennych książek nie dochodzi do wsi, zalegając magazyny po miastach.

Ważną formą propagandy oraz popierania współzawodnictwa o przyswojenie zdobyczy nauki i przodujących doświadczeń są rozmaitego stopnia wystawy rolnicze. Artykuł wyraża pogląd, że obok osiągnięć czołowych kołchozów, sowchozów i stacji maszynowo-traktorowych, wystawy powinny poświęcać osobne miejsce gospodarstwom źle pracującym, bowiem metoda porównawcza jest jednym z najważniejszych środków propagowania przodujących doświadczeń.

Filmy

Kinematografia radziecka wyprodukowała w ostatnich latach dużo filmów instrukcyjnych i popularno-oświatowych na tematy rolnicze. Wielkim sukcesem na wsi cieszy się na przykład kolorowy film o sadzeniu kwadratowo-gniazdowym. „Prawda" zwraca jednak uwagę, że w wielu miejscowościach, na skutek niedbalstwa, filmy rolnicze nie docierają nawet latami na ekrany.

Sytuację tę poprawi rozpoczęty 1 bm. wszechzwiązkowy festiwal filmów rolniczych. Trwać on będzie aż do 1 kwietnia 1954 roku. W okresie tym na ekranach kin, w świetlicach i kołchozowych pałacach kultury wyświetlonych zostanie 125 filmów. Widzowie ujrzą życie kołchozów i sowchozów różnych okręgów kraju, a także zaznajomią się z metodami pracy znanych przodujących kołchoźników-nowatorów. Wielkie zainteresowanie wzbudzają filmy „Opowieść o życiu roślin", według książki K. Timiriazjewa i „Drogami Miczurina" — o sposobach podnoszenia plonów. Wiele filmów poświęconych jest elektryfikacji i mechanizacji rolnictwa oraz zastosowaniu nowych maszyn i narzędzi rolniczych. Każdy seans poprzedza kronika „Nowości rolnictwa" oraz odczyty i wypowiedzi wybitnych specjalistów, przewodniczących kołchozów i przodujących praktyków rolnictwa lub lektorów Towarzystwa Upowszechniania Wiedzy Politycznej i Naukowej.

Warto zaznaczyć, że w ośrodkach rejonowych i kołchozach znajduje się obecnie około 40 tysięcy aparatów kinowych. Kino stało się nierozłącznym elementem powszedniego dnia wsi.

Nauka

Akademia Nauk Rolniczych im. Lenina przyznała w tych dniach pierwsze dwa złote medale im. Miczurina. Nagrodę tę, ufundowaną w r. 1949 dla uczczenia wybitnych zasług w dziedzinie agrobiologii, otrzymali laureaci Nagrody Stalinowskiej, uczniowie Miczurina, Paweł Jakowlew i Michał Lisawenko. Prof. Lisawenko poświęcił ponad 30 lat rozwojowi ogrodnictwa w rejonie Ałtaju. Uczony zaaklimatyzował tam wiele wyhodowanych przez siebie gatunków drzew owocowych i krzewów, które obecnie znalazły na Ałtaju szerokie zastosowanie. Członek Akademii Nauk, Jakowlew, wsławił się także w dziedzinie hodowli drzew owocowych. Jego zasługą jest skrzyżowanie brzoskwini z migdałem, co uczyniło roślinę odporną nawet na 40-to stopniowy mróz i rodzącą owoce nawet w środkowej części ZSRR.

Sport

Organ Ministerstwa Rolnictwa i Skupu, „Sielskoje Chozjajstwo", opublikował w tych dniach artykuł wstępny, omawiający przygotowania do zimowego sezonu sportowego na wsi. Z artykułu tego dowiadujemy się, że miliony ludzi pracy na wsi radzieckiej uprawiają rozmaite dziedziny sportu. W samej tylko Federacji Rosyjskiej znajduje się 33 tysięcy kół sportowych. Na wszechzwiązkowych zawodach narciarskich zespół kołchoźników RFSRR zajmuje w ciągu trzech lat pierwsze miejsce. Szereg kołchoźników wchodzi w skład radzieckiej drużyny państwowej.

Mimo tego, rozwój sportu narciarskiego, a jeszcze bardziej łyżwiarskiego i hokejowego, cierpi na szereg trudności. Dziennik krytykuje szczególnie pracę zrzeszeń sportowych „Kołchoznik" i „Urożaj" oraz pracę lokalnych zespołów kultury fizycznej. Za jedno z poważnych ich uchybień artykuł uważa brak troski o stworzenie niezbędnej bazy materialnej dla rozwoju sportów zimowych. „Działacze sportowi — pisze „Sielskoje Chozjajstwo" — winni domagać się od zarządów kołchozów odpowiednich środków na wyposażenie baz narciarskich, ślizgawek i skoczni oraz na zakup nart i łyżew".

Na zakończenie artykuł formułuje program usprawnienia propagandy kultury fizycznej i sportu wśród ludności wiejskiej. Obejmuje on wymianę doświadczeń pomiędzy zespołami, pokazy filmów sportowych oraz pogadanki, odczyty i wykłady o sportach zimowych.

(K)

DYSKUSJA NAD TEZAMI IX PLENUM KC PZPR



PODZIĘKOWANIE TRAKTORZYSCIE — Mal J Krajewski

JÓZEF TOKARCZUK

O upolitycznienie pracy świetlicowej

PRZYJEŻDŻAJĄC do Smard z Opola, ściślej: z Wojewódzkiego Domu Kultury w Opolu, miałem zamiar pracować z młodzieżą wiejską na polu kulturalno-oświatowym, według wskazówek dyrektora W.D.K. Bergera i kierownika działu mas.-pol. tow. Lacha. Z dwóch gromad, w których miałem pracować, nie znałem jeszcze nikogo. Wiedziałem tylko, że w każdej jest spółdzielnia produkcyjna i koło ZMP-owskie.

Dlatego też, przystępując do pracy, obawiałem się, czy jej podołam — mimo, że jako były członek Zespołu „Mazowsze" i obecnie członek baletu W.D.K. w Opolu mam w tym kierunku pewne doświadczenia.

Dwie gromady położone obok siebie — Smardy Dolne i Górne — stanowią dość duże skupisko ludności wiejskiej. Wieś posiada sklep tekstylny i spożywczy, gospodę ludową oraz świetlicę gminną z etatową kierowniczką ob. Rozalią Chechelską.

Pamiętam moją pierwszą rozmowę z młodzieżą. Kierowniczka świetlicy zwołała wszystkich, informując kim jestem i po co przyjechałem. Od tego pierwszego wieczoru starałem się zaskarbić sobie serca młodzieży. W jaki sposób to robiłem?

Młodzież, widząc nowego człowieka wśród siebie, stara się go wybadać, dowiedzieć się czegoś więcej, niż od niego słyszała. Dlatego zawsze starałem się i staram mówić to, co wiem, być skromnym — gdyż takie właśnie cechy powinien mieć każdy aktywista społeczny, czy oświatowiec.

Od początku starałem się być szczerym doradcą młodzieży nie tylko w sprawach służbowych lecz i w sprawach prywatnych.

Jakie to dało rezultaty? Obecnie nie ma sprawy, czy konfliktów między młodzieżą, o których bym nie wiedział.

Przy każdej okazji starałem się udowodnić, że każdy z nas ma w sobie jakieś cechy szlachetne, chociaż nie są one tak widoczne, jak u tego czy innego. Ponieważ moje tłumaczenia jakoś nie dochodziły do młodzieży, zacząłem dawać przykłady z życia młodzieży w Związku Radzieckim, pokazywać bohaterską walkę komsomołu z najeźdźcą hitlerowskim, wskazywałem braterstwo młodzieży świata w walce o pokój, bez względu na rasę, wyznanie czy poglądy. To poskutkowało. Koledzy, którzy dotychczas przychodzili tylko posłuchać pieśni, czy zobaczyć taniec, zaczęli przeprowadzać z nami ćwiczenia. Wyróżniał się w tym szczególnie Tadek K. Dziś jest on najaktywniejszym członkiem zespołu, moim najbliższym doradcą i przyjacielem.

Repertuar zespołu oparłem prawie wyłącznie na repertuarze Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze", gdyż te piosenki i tańce najbardziej przypadły do serca młodzieży.

Nasz pierwszy występ odbył się dnia 7 listopada br. Sala była wypełniona publicznością po brzegi.

Pragnę zaznaczyć, że zespół tego typu widziany był przez niektórych ludzi tutejszych po raz pierwszy. Po każdym występie zachwycona publiczność biła rzęsiste brawa. W tenczas właśnie widziałem jak uradowani byli członkowie zespołu, przekonawszy się, że ktoś umie ocenić ich pracę. Bo trzeba zaznaczyć, że w skład zespołu wchodzą przeważnie córki i synowie chłopów-spółdzielców i indywidualnych, poza pracą w polu, znajdują oni jeszcze czas na rozrywkę w świetlicy.

Oprócz pracy artystycznej w zespole, prowadzę wespół z kierowniczką świetlicy, oraz przewodniczącym zarządu gminnego ZMP, tow. Kwietniem Tadeuszem również pracę polityczną. Przygotowujemy prawie na każdą próbę krótką prasówkę na aktualne tematy krajowe i międzynarodowe. Ostatnio przedyskutowaliśmy w naszym zespole tezy przedzjazdowe. Po przeczytaniu tez umocniliśmy się w swym przekonaniu, że pracę kulturalną i świetlicową należy jak najściślej łączyć z pracą wychowawczą i polityczną. I to nie tylko na zewnątrz, w stosunku do widzów.

Dla organizatorów pracy świetlicowej szczególnie ważna jest praca polityczna i wychowawcza z członkami zespołów. To decyduje o zwartości zespołu i zdrowej, twórczej atmosferze wśród członków. Jeżeli chodzi o łączenie pracy artystycznej z aktualnymi potrzebami politycznymi wsi, czy też gminy, to wydaje mi się, że najważniejszą jest tu konkretność adresu. Obecnie, oprócz prób, dajemy tzw. „koncerty życzeń" dla rolników z naszej gminy, którzy wywiązali się ze wszystkich obowiązków wobec państwa. Na takich koncertach poszczególne punkty programu dedykujemy wyróżniającym się rolnikom, co z kolei wpływa mobilizująco na chłopów pozostających w tyle. Równocześnie piętnujemy w takich koncertach rolników, którzy — mogąc się wywiązać z obowiązków — ociągają się.

Zespół powstał niedawno, a jednak ma już pewne osiągnięcia i znany jest już w całej gminie, a nawet w powiecie. Próby odbywają się trzy razy w tygodniu, po 2,5 godziny. Staram się iść na próby zawsze przygotowany z konspektem w ręku, gdyż właśnie takie przygotowanie się prowadzącego pozwala na większe wykorzystanie czasu i dodatnio wpływa na podnoszenie poziomu artystycznego członków zespołu.

Do zespołu stale przychodzą nowi ludzie. Pierwszy występ odbył się, gdy w zespole było 16 członków; dziś jest ich 34. Niełatwa jest praca, ale jestem zadowolony z jej plonów. Przyjemnie jest spojrzeć na tych ludzi podczas występu. Jacy są szczęśliwi, że mogą przed swoimi rodzicami pochwalić się tym, czego się nauczyli w świetlicy!

Jednak, oprócz osiągnięć, mamy też i poważne braki. Jednym z podstawowych braków jest brak instrumentów muzycznych i kostiumów. Mamy już skromną gotówkę, lecz nie wystarczy jej na zakupienie strojów, a pomocy nie otrzymujemy znikąd.

Drugim brakiem w naszym zespole jest słaba jeszcze dyscyplina. Mamy samorząd zespołu, nie potrafił on jednak zdobyć sobie autorytetu wśród członków, ażeby nimi należycie pokierować. Samorząd w zespole — to prawa ręka instruktora. Samorząd nie może poradzić sobie z członkami, którzy bez usprawiedliwienia nie przychodzą na próby, nie potrafi należycie zorganizować i przygotować występu zespołu od strony technicznej i organizacyjnej. Słowem naszemu samorządowi brak jest inicjatywy.

Uwagi o pracy w zespole, o którym piszę, nasunęły mi się po przeczytaniu referatu tow. Bieruta na IX Plenum i tez na II Zjazd Partii. Sądzę, że nasze doświadczenia mogą dopomóc aktywistom kulturalnym na szerszym terenie. Myślę, że dyskutując nad tezami, powinniśmy zastanowić się przede wszystkim jak upolitycznić naszą pracę świetlicową, jak przenieść do naszych występów i wieczornic, do wszelkiego rodzaju imprez artystycznych — potężny ładunek ideologiczny IX Plenum.

Józef Tokarczuk
Smardy, pow. Kluczbork,
woj. Opole

KAZIMIERZ JESION

Wieś na nowym etapie

Był późny grudniowy wieczór. W izbie miczurinowca Kazimierza Rukata w niewielkiej wsi na Mazowszu toczyła się niezwykła dyskusja Mówiono bowiem nie o gospodarskich troskach lecz o IX Plenum Partii.

Kazimierz Rukat, małorolny Siwek i robotnik Falecki, (przybyły w przeddzień do rodziny z Zambrowa, gdzie od dwóch lat pracuje przy budowie kombinatu Przemysłu Bawełnianego) słuchali radia. Gdy rozgłośnia warszawska zakończyła nadawanie wiadomości o podjętych przez załogi fabryczne zobowiązaniach na cześć II Zjazdu Partii, gospodarz domu rzekł:

— Będzie to w życiu Polski historyczny zjazd; skieruje on życie naszej wsi na nowe tory.

Ściszywszy głośnik w aparacie radiowym Rukat zapytał swych gości:

— Czy pamiętacie naszą rozmowę przed wiosennymi siewami? Już wtedy przepowiadałem: władza ludowa pomoże wsi; pomoże dlatego, że zbliżamy się do końca planu 6-letniego, a rolnictwo z wykonaniem swych zadań wciąż nie daje sobie rady.

— Co się mówi o tej pomocy w fabrykach? — zapytał Faleckiego Siwek.

— Że będzie duża — odpowiedział Falecki: — w maszynach i nawozach sztucznych, w kredytach i zaspokajaniu potrzeb gospodarskich, w mechanizacji prac na roli i w agrotechnice.

— To najważniejsze! — zawołał Rukat. — Bo gdy chłop się wreszcie przekona, że zacząwszy gospodarować po nowemu, od razu zwiększy swoje dochody, wszystko na wsi pójdzie inaczej.

— Tezy przedzjazdowe mówią także o ulepszeniu pracy gminnych spółdzielni ZSCh, o zwiększeniu produkcji towarów dla wsi, o skierowaniu do służby rolnej doświadczonych agronomów, o zakładaniu i zaopatrywaniu w żelastwo gęstej sieci kuźni. Zaspokoi to wiele naszych potrzeb — wtrącił Siwek.

— Najwięcej jednak wzmocni wieś wiedza rolnicza — mówił dalej Rukat. — Nasz chłop dopiero wtedy pozna, jak wiele traci nie orząc gruntów pod jare — w jesieni, nie odkwaszając gleby i łąk, nie sadząc kartofli systemem kwadratowo - gniazdowym, nie karmiąc zwierząt w sposób racjonalny. Miliony marnuje się w każdym powiecie w Polsce z powodu chłopskiej niewiedzy.

— Tezy mówią i o tym.

— Wiecie, co mnie najwięcej w nich cieszy? To, że będziemy o wszystkich sprawach otwarcie dyskutować. Bo dyskusja obnaży wiele naszych bolączek i wskaże środki do ich zaleczenia.. Ujawni też niezaprzeczalną prawdę, że wiedza rolnicza potrzebna jest polskiej wsi, jak roślinie słońce. Zważcie — choćby na podstawie tego, co wam powiem — jak kraj rósłby w bogactwa, gdyby chłop w pełni wykorzystywał możliwości, jakie mu daje ziemia! W tych dniach w Samopomocy Chłopskiej w Warszawie widziałem głowę brukwi. Ważyła 18 kilogramów! W przeliczeniu na hektar zebrano jej ponad 800 q. W Biegonicach osiągnięto na polu doświadczalnym 26 kilogramów ziemniaków spod jednego krzaka. W Państwowym Gospodarstwie Rolnym Szyldak w Olsztyńskiem wyhodowano seradelę dającą z jednego ziarenka do 4 kilogramów zielonej paszy. Stanisław Boguta z Filipówki w powiecie kętrzyńskim zebrał 80 q lnu z hektara. Jozef Eismond z Czarnej Wsi w Białostockiem kosi czterokrotnie więcej siana niż jego sąsiedzi. Golarz z Kiesztanowa osiąga 700 q buraka z ha; Jan Marko z Kantowa w powiecie kwidzyńskim wykopał 530 q kartofli z ha. — Co ogół naszego chłopstwa wie o tych zdobyczach? Prawie nic! Za mało mamy o nich wiadomości w gazetach. Za mało mówi o nich radio. W książkach zaś nie znajdujemy o tym ani słowa. A w Związku Radzieckim osiągnięcia przodujących kołchozów odtwarzane są w najlepszych powieściach.

I w polskich wsiach nie brak spraw i ludzi, godnych pióra pisarza. I na naszym gruncie mogłyby powstać „Zorany ugór", „Kolchida", „Kawaler Złotej Gwiazdy", „Żniwa". Pomogłyby one chłopu bardzo w jego trudnej pracy.

— Wołajmy o tych potrzebach wsi: wy — chłopi i my — robotnicy razem. Bo podniesienie rolnictwa jest wspólną naszą sprawą — rzekł Falecki.

— Rozumiemy to — zaznaczył Siwek — i liczymy na waszą pomoc.

— Nie zawiedziecie się w swych oczekiwaniach. Wkrótce kończymy całkowicie budowę wielkiej fabryki w Zambrowie. Czym będzie ona dla ziemi łomżyńskiej wiemy wszyscy. Gleba mazowiecka daje obfite plony lnu. Możecie go teraz uprawiać jak najwięcej. Nasza fabryka zakupi każdą ilość.

— Wiemy o tym — wtrącił Siwek. — Już w tym roku Zambrów ogłaszał, by chłopi przygotowywali się do większych upraw lnu.

— Czy tylko lnu? — zapytał Rukat. — Dziś każdy płód ziemi ma w Polsce zapewniony zbyt. Trzeba go tylko więcej hodować. I dlatego musimy poznawać nowe metody gospodarowania na roli.

Byłoby dobrze, gdyby nasi uczeni agronomowie wzięli pod swą opiekę po kilka wsi w powiecie; gdyby pozostawali w nich przynajmniej w czasie upraw, siewów i zbiorów Ich wskazówki dałyby korzyści podwójne: gruntowne poznanie zdobyczy nauki rolniczej przez owe wsie i rozpowszechnienie ich doświadczeń po całej okolicy. Bo po roku wiedziałby o nich każdy chłop.

— W dyskusji nad tezami powinniśmy wysunąć jeszcze jeden projekt — dodał Siwek: — żeby nauczycielstwu na odcinku pracy społecznej powierzać **wyłącznie zadania kulturalne.** Niech ożywia ono życie świetlic, zespołów artystycznych, chórów. Niech propaguje dobre książki. Niech organizuje wieczory dyskusyjne. Nie wolno marnować sił pracowników oświatowych na wsi na przepisywanie papierków w prezydiach gminnych rad narodowych i na wyjazdy w doraźnych akcjach w teren. A dziś można się z tym spotkać w setkach GRN-ów.

— Nie wolno zapomnieć także o zadaniu, które w tej chwili uważam za najważniejsze — dodał Rukat: — **o rozbudzaniu w polskim chłopstwie entuzjazmu dla wykonania nowych zadań wsi. Bo zapał ustokrotni nasze siły, tak bardzo Polsce potrzebne.**

*

Północ się zbliżała, gdy dyskutanci tez zjazdowych na niewielkiej wsi mazowieckiej zakończyli rozmowy. A poruszyli zaledwie kilka problemów.

Tymczasem w dyskusji trzeba omówić wszystkie zagadnienia, które pomogłyby zwiększyć wydajność gospodarki rolnej, zagwarantować ludziom pracy dobrobyt, podnieść zamożność wsi, wzbogacić jej życie kulturalne.

Kazimierz Jesion



CZESŁAW MICHNIAK

„ZORANY UGÓR"

(Opowiadanie)

Stuknął lekko w szkło barometru, strzałka nie ruszała się z miejsca. Deszcz i deszcz, plusk i monotonne pojękiwanie przymkniętej okiennicy. „Trzeba będzie haczyk dorobić" — odezwało się gospodarskie sumienie.

Siadł przy stole, ćmy tłukły się w kulistym kloszu lampy. Drgnął knot, cień starego chłopa wydłużył się, zatańczył na ścianie i belkowanym suficie, zaczem znowu uspokoił się jakby ukołysany jednostajnym szumem wiatru. Trzeszczało w wiązaniach dachu.

Spojrzał na zegar. Była ósma. Podparł rękami głowę wpatrując się w okno, za którym rozlała się ruchliwa, mokra ciemność. Z siedmiu hektarów nienajlepszej ziemi, którą odziedziczył po ojcu większość stanowiły torfiaste łąki, zamieszkałe przez dzikie kaczki i żaby. „Jak jutro nie przestanie padać, będzie źle" — zasępił się.

Kilka książek leżało na stole. Z kolorowych okładek przemawiały tytuły wplecione zgrabnie w jakiś obrazek wiejski — chatynka, wierzba rosochata, chłop orzący wołami. Żołnierze z gwiazdami na stalowych hełmach, gdzie indziej okręt z rozwiniętymi żaglami, to znowu jakieś dziwaczne esy-floresy, ornamenty i tym podobne fidrygałki. Przekartkował szybko jedną z książek i popatrzył na niego spodełba Pawka Korczagin, srogi jakiś, zawzięty. W grubym zeszycie starannie, wielkimi, okrągłymi literami wypisał tytuł: „Jak hartowała się stal". Wygładził z dokładnością pedanta zagięte trochę rogi okładki, obtarł rękawem niewidzialny pyłek...

Pewnego jesiennego wieczoru w czterdziestym dziewiątym roku napadła na wieś banda. Banasińskiemu zabrali jałówkę, kilka kur oraz piętnaście tysięcy złotych. Podziękowali kolbą. Półki z książkami przerzucili do góry nogami. „Zorany ugór" deptał amerykańskimi buciorami sam „porucznik", klocowaty szatyn z wąsikami. Znęcając się nad książką huczał: „Ja ci dam „Ugór" bolszewiku przeklęty!"

Że go ograbili, wiadomo — bandyci. Ale skąd ten „bolszewik" — nie wiedział. „Przecieżem ani partyjny, ani nawet SL-owiec". Gdy jednak przypomniał sobie „porucznika" odpowiedź miał gotową: książki. Dwa wieczory spędził na zszywaniu i łataniu kartek „Ugoru"...

Ostrożnie, z namaszczeniem otworzył następną: „Opowiadania włoskie" Mariana Brandysa. Gdzieś nad głową, chyba na strychu, chrobotnęła mysz. Okiennica poruszyła się ze zgrzytem, jakby tknięta niewidzialnymi rękami. Plusk nie ustawał. Banasiński wstał, skrzypnęła podłoga. Zatrzymał się przed półką. O, tu z brzega „Młoda Gwardia", własność Mańka, który otrzymał ją w nagrodę za celujące postępy w nauce. Książka przypomniała mu grubego papieru. Otworzył książkę delikatnie. Pierwsze kartki-protezy zaszeleściły jakoś dziwnie nie swojo. Dalej zniszczenia były mniejsze, czasami trafiła się ciemna plama, jakby siniec uderzenia, to znowu były podziurawione gwoździami na obcasach, ale oczywiście starannie podklejone. Zaczął czytać półgłosem:

„Pod koniec stycznia owiane pierwszą odwilżą, pięknie pachną wiśniowe sady..."

Samotna muszka bzyknęła koło ucha, ćmy kotłowały się pod kloszem. Deszcz walił o szyby. Chwi-



Rys. M. Walentynowicz

syna, który kształcił się teraz w jednym z sosnowieckich liceów. Przełknął ślinę, wzruszony przejechał ręką po włosach. Obok przyciśnięte do ściany stały dwa grube tomy z rysunkami: „Cichy Don". Przysłano mu je niedawno z redakcji „Przyjaźni" za odgadnięcie szarady. Na górnej półce, gdzie tłok panował największy, rzucała się w oczy książka obłożona w czerwony papier. Były to „Dni i noce", powieść o Stalingradzie w języku rosyjskim, którą podarował mu przed laty pewien radziecki lejtenant, stojący u nich na kwaterze. Dedykacja brzmiała: „Dorogomu polskomu towariszczu — P. G. Włodkow".

Znowu usiadł. Wzrok jego padł na „Ugór". Okładkę przecinała u góry niczym bandaż biała opaska z lami wiatr zrywał się większy, szarpiąc okiennicą, jak gdyby chciał ją wyrwać z zawiasów. Przez te odgłosy przebijał teraz wyraźnie szum niedalekiego lasu. „Na pogodę" — mruknął. Zawsze ilekroć słychać było las, następowała zmiana.

Nagle w tę jednostajną melodię jesieni wdarł się dysonansem inny, obcy dźwięk - szelest, jakby ktoś przedzierał się przez krzaki rosnące gęsto wzdłuż płotu. Przestał czytać, odłożył książkę, zbliżył się do okna. W przyległej izbie ktoś chrapał. „Znowu śpi na wznak", pomyślał o żonie W tej samej chwili usłyszał stukanie. Nie namyślając się otworzył okno. Zaświszczało mokre powietrze, do środka wpadł rój kropel dżdżu, niektóre usiadły na czole niby pocałunki zimnych, wilgotnych ust. Pchnął okiennicę, deszcz tłukł ostro o namokłą ziemię, pluskał w kałużach, bębnił o blachę na dachu.

— Kto tam?

Nikt nie odpowiadał.

— Kto? — powtórzył, wychylając nieco głowę. Wiatr rozburzył mu włosy.

— Swój — rzekł cień, przybliżając się do parapetu okna. Teraz dopiero Banasiński poznał Milika.

— O rany! — w głosie zabrzmiała ulga. — Coście, w taki deszcz?... wyrażał swoje zdumienie. — Idźcie do drzwi, zaraz wam otworzę...

— Idę — zniknął w ciemności.

Banasiński wyszedł poświecić do sieni. Przeprowadził Milika przez kuchnię do „biblioteki".

— Mam do was sprawę — rzekł Milik, ściszając głos. Na wiechciowatych wąsach wisiały kropelki deszczu. — *Chodzi o książkę...*

Książkę? Ejże! Banasiński wyczuł w tej wizycie podstęp. Na pewno partyjni przysłali chłopa na przeszpiegi, co też on tak długo robi po nocach. Nie ufali mu? Kto wie! Kiedyś nawet podsłuchał rozmowę: „Banasińskiego trzeba rozgryźć"...

Spojrzał podejrzliwie na Milika. Stał w pogiętym kapeluszu, z którego woda kapała jak z rynny, zmęczony, budzący litość. Tylko ciemne oczy żarzyły się jak dwa węgielki...

— We wsi mówią, żem sobek, a wy do mnie — nastawał Banasiński ironicznie.

— Sobek, zgadza się, ale i człowiek... — powiedział Milik spokojnie, otrzepując liście, które poprzylepiały się do ubrania. — Znacie Karwata! — wybuchnął nagle.

Chłopi w Jasieńcu mówili po reformie rolnej: „odszedł Wielopolski, ale został jego cień", choć Karwat był człowiekiem uprzejmym, wesołym. Dzięki tej uprzejmości i pokaźnej tuszy zaczęto go nazywać proboszczem. Żona, która jeszcze przed wojną ukończyła kurs PCK, pełniła na wsi funkcję sanitariuszki — bezpłatnie Niektórym z pacjentów proponowała: „możebyście pomogli mężowi przy zwózce siana, albo torf układać?". Banasiński zamknięty w swej bibliotece, bądź sterczący na łąkach z kosą lub grabiami utrzymywał z Karwatem tylko oficjalne stosunki. Miał parę koni i książki, nie potrzebował więc ani rady, ani pomocy bogatego gospodarza.

— No to co? Nic z tego nie rozumiem... — wzruszył ramionami i zrobił ruch ręką, jakby chciał się pożegnać. — A jaka to książka? — spytał jeszcze dla porządku.

— „Zorany ugór"...

— Ciekawa rzecz... — ożywił się Banasiński.

— Pewnie, skoro Karwatowi napędziła tyle strachu...

— Jak to?

— Ano, gdy mu powiedziałem, że przeczytałbym ten „Ugór", to Karwat, zwykle taki godny i stateczny jak ksiądz, zaczął przeklinać i krzyknął, że jeżeli zobaczy książkę w moich rękach, to koniec naszej przyjaźni... Konia mi nie da... Maszyny mi nie da... pomimo że robię na jego polu, jak ten wół.

— Akurat chodzi wam o ten „Ugór" — rzekł jakby do siebie Banasiński, obrzucając krytycznym wzrokiem tego śmiesznego drągala z wąsami, których koniuszki opadały smutnie w dół.

— Bardzo ciekawa rzecz — powiedział Milik. Kiwnął głową; nowa porcja wody spłynęła z kapelusza na ziemię.

— Wściekał się, mówicie, zły był?

— A tak — podchwycił Milik — rozdarł się: „dam ja ci „Ugór", bolszewiku przeklęty!"

— Jak powiedział, jak? — wyrzucił z siebie Banasiński z wściekłością Twarz wydłużyła się, natychmiast uwydatniły się kości policzkowe. Zbladł. Posunął się w kierunku Milika i znów stanął.

— A to *dranie!* — rzekł wolno i dobitnie.

— Drań — zgodził się Milik, który miał na myśli tylko Karwata.

Zapadło milczenie.

Banasiński odwrócił głowę w stronę stołu. Książka leżała cichutko, jakby zamarła w oczekiwaniu.

— Chodźcie no bliżej — powiedział, wycierając ręce o spodnie. Kątem oczu zobaczył, że Milik uczynił to samo. Zdjął nawet kapelusz. Banasiński uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Jakbyście jeszcze kiedy chcieli książkę — ważył słowo — to przyjdźcie, tylko nie po ciemku, ale we dnie. Weźmiecie sobie do domu. A i konia wam pożyczę i wymłócę, jak trzeba będzie — dodał uroczyście.

Pochylili się nad stołem, w przejęciu i ciekawości dziwnie podobni do siebie. Twarz Milika rozjaśniła się, wypiękniała, uczynił nawet ruch, jakby chciał podkręcić wąsa. Rzucił się do czytania. Banasiński mu sekundował. Nie przestawał się uśmiechać.

„Pod koniec stycznia owiane pierwszą odwilżą pięknie pachną wiśniowe sady..."

Czesław Michniak

RYSZARD HŁADKO

RECYTATORKI WIEJSKIE

(po I Ogólnopolskim Konkursie Recytatorów)



STEFAN JASIŃSKI — rys. J. Żebrowski

W dniach 23-25 listopada odbyły się w Warszawie Centralne Eliminacje I Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorów; wzięło w nim udział 180 uczestników wyłonionych na eliminacjach powiatowych i wojewódzkich spośród 60 tys. kandydatów.

Masowe obesłanie pierwszej tego rodzaju imprezy świadczy, że sztuka artystyczna odtwórstwa tekstu literackiego stała się istotnym czynnikiem kulturotwórczym wśród najszerszych mas. Należy wyrazić głębokie zadowolenie, że organizator imprezy — Ministerstwo Kultury i Sztuki postanowiło organizować podobne imprezy co roku. I to — oddzielnie dla amatorów, młodzieży szkolnej i zawodowych aktorów.

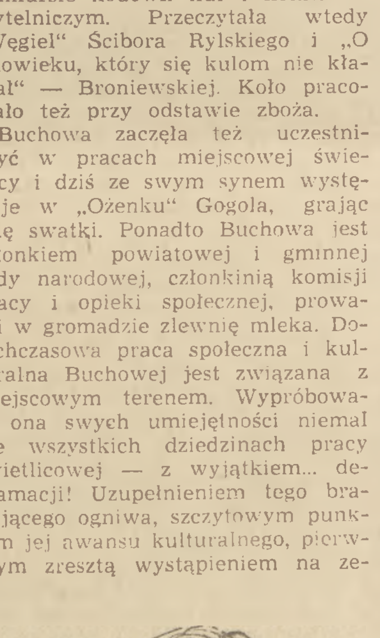
Spośród uczestników Konkursu nagrodzonych zostało 60 wykonawców. Wśród występujących 20 proc. stanowili przedstawiciele wsi. Procent to dość wysoki, gdy się uwzględni, że sztuka deklamacji na wsi jest jeszcze bardzo zaniedbana.

Rzecz zadziwiająca: wieś na konkursie reprezentowały prawie wyłącznie kobiety. Czy jest to dobre zjawisko? I tak i nie. Dobrze — bo jak się okazuje, kobieta wiejska, znana dawniej ze swego zacofania i ciemnoty staje dziś nie rzadko na froncie rewolucji kulturalnej na wsi polskiej. Jakże głębokie pokrycie znajdują w tym fakcie słowa tow. Bieruta wypowiedziane pod adresem kobiety wiejskiej w lutym br.! Prymat kobiet nie zwalnia wszakże ich mężów, synów i ojców od odpowiedzialności za właściwy kierunek przemian kulturalnych na wsi. Jeśli nie wykazują inicjatywy, niechże kobiety postarają się ich zaktywizować.

KIERUNEK SKRZYWIONY

Wyróżniona na konkursie 500 złotową nagrodą Zofia Buchowa — jednohektarowa chłopka z Czarnej w woj. rzeszowskim odbyła do sztuki recytatorskiej znamienną drogę. Wstąpiła do Koła Gospodyń Wiejskich, w którym — jako jedna z aktywistek — brała udział w konkursie hodowli kur i konkursie czytelniczym. Przeczytała wtedy „Węgiel" Ścibora Rylskiego i „O człowieku, który się kulom nie kłaniał" — Broniewskiej. Koło pracowało też przy odstawie zboża.

Buchowa zaczęła też uczestniczyć w pracach miejscowej świetlicy i dziś ze swym synem występuje w „Ożenku" Gogola, grając rolę swatki. Ponadto Buchowa jest członkiem powiatowej i gminnej rady narodowej, członkinią komisji pracy i opieki społecznej, prowadzi w gromadzie zlewnię mleka. Dotychczasowa praca społeczna i kulturalna Buchowej jest związana z miejscowym terenem. Wypróbowała ona swych umiejętności niemal we wszystkich dziedzinach pracy świetlicowej — z wyjątkiem... deklamacji! Uzupełnieniem tego brakującego ogniwa, szczytowym punktem jej awansu kulturalnego, pierwszym zresztą wystąpieniem na zewnątrz — była recytacja **„Listu Anny Żywioł"** Jastruna i **„Przeciw wściekliźnie"** Broniewskiego — na warszawskich eliminacjach.



ZOFIA BUCHOWA rys. J. Żebrowski

Dlaczego z owym „brakującym ogniwem" przyszła aż do Warszawy? Dlaczego nie wypróbowała go uprzednio wśród swoich?

— Nie odważyłabym się — powiada — deklamować u nas we wsi! Wstydziłabym się. Co innego grać na scenie. Ale deklamować?..."

Oto wyznanie! W czytelnictwie książek, na scenie, w chórze wypada wystąpić „wśród swoich"; w deklamacji — „nie wypada". Ta pozostałość tradycyjnego kompleksu „wypada — nie wypada" powoduje, że Buchowa „wstydzi się" przekazać wsi wszystkie swoje umiejętności.

Mamy nadzieję, że ob. Patykowa-kierowniczka wzorcowej świetlicy w Czarnej, do której należy Buchowa, weźmie ten istniejący jeszcze w jej gromadzie kompleks pod uwagę w swej dalszej pracy.

KIERUNEK PRAWIDŁOWY

Maria Konarzewska — członkini spółdzielni produkcyjnej w Krzyżanówku, pow. Kutno recytowała **„Bagnet na broń"** — Broniewskiego i satyrę Krasickiego **„Kałamarz i pióro"**. Wybrała te utwory dlatego, że — jak powiada — lubi wiersze „energiczne". Co przyniósł jej konkurs recytatorski? Dojrzała w nim dla siebie duże możliwości. Perspektywę tę dostrzegła już w trakcie eliminacji, zapisując się do IV etapu konkursu czytelniczego. Konkurs recytatorski pozwolił jej odnaleźć właściwy kierunek swego rozwoju.

Doszła do niego nie prostą drogą. Skończyła tylko 4 klasy szkoły powszechnej, nie mogła więc wyrobić sobie właściwego smaku artystycznego. Jako członkini „Wici" po wojnie brała udział w melodramatycznych misteriach wielkanocnych. Wiciowe skrzywienie ideologiczne pozwoliło jej podczas Święta Ludowego w Młogoszynie deklamować publicznie bez wewnętrznych oporów, „Pobudkę" Asnyka. Toteż i w swym „smaku scenicznym" nie wymagała wiele: z taką samą ochotą wystąpiła w karczemnej szmirze „O ziemię".

Przełom nastąpił, gdy do wsi przywędrowała biblioteka. Bardzo podobały jej się książki rewolucyjne: „takie o strajkach, o walce robotniczej", „dlatego że były smutne". Konarzewska widziała wtedy cierpienia; nie mogła dostrzec rewolucyjnej siły klasy robotniczej; ukazały ją jej dopiero wiersze Broniewskiego. Od „Pobudki" do „Bagnetu" długa była droga; ale dziś Konarzewska wie, że najlepsze są książki „energiczne"; że „nie śpiący rycerze" lecz walka klasowa decyduje w życiu. Udział w konkursie czytelniczym jest dalszym etapem w rozwoju jej świadomości.



ZOFIA NYGA rys. J. Żebrowski

*

W przykładzie Zofii Nygi z POM w Nowym Stawie w powiecie Malbork chodzi o inne przemiany. Konkurs recytatorski podbudował ją psychologicznie, wzmocnił poważnie jej wykształcenie artystyczne, a zarazem uwieńczył drogę jej społecznego awansu.

Nyga z natury swej (po części i z tego, że jest samotna i w „obcych stronach") skłonna była do apatii i smutku. Stąd jej zamiłowanie do lektury, która znacznie polepszała jej samopoczucie. Ten wzgląd zdecydował, że już kilka razy przewertowała powieść „Jak hartowała się stal" Ostrowskiego i „Opowieść o prawdziwym człowieku" Polewoja.

Jeszcze mocniejszą podbudowę psychologiczną dał jej występ recytatorski w Warszawie, na którym otrzymała III nagrodę.

— Nie wierzyłam w swoje uzdolnienia — wyznaje. — Dzięki eliminacjom odnalazłam w sobie nowego człowieka, nowe możliwości. Prowadzę zespół artystyczny POM-u. Miałam zawsze trudności z recytacjami. Zasady dykcji przy opracowywaniu ról były dla mnie czarną magią. Marzyłam o tym, żeby móc swój głos nagrać na płytę i sprawdzić, jak mówię. Teraz wiem. Nie tylko z własnego występu. Siedzę w tej sali po kilka godzin i słucham. Z tak wieloma możliwościami wypowiadania się na scenie spotykam się po raz pierwszy. Słucham uczniów szkolnych, zawodowych aktorów, ludzi z fabryk i ze wsi. Teraz wiem, jak nasi „aktorzy" z POM-u mają grać swoje role.

A więc konkurs dał jej także doświadczenie reżyserskie.

Awans społeczny Nygi nabrał nowych jakości. Bo do obecnego stanowiska — referenta administracyjno - gospodarczego POM i kierownika zespołu, doszła poprzez pracę traktorzystki i kierowniczki kuchni.

RYSZARD HŁADKO

LEOPOLD STAFF

KOWAL

Całą bezkształtną masę kruszców drogocennych,
Które zaległy piersi mej głąb nieodgadłą,
Jak wulkan z swych otchłani wyrzucam bezdennych
I ciskam ją na twarde, stalowe kowadło.

Grzmotem młota w nią walę w radosnej otusze,
Bo wykonać mi trzeba dzieło wielkie, pilne,
Bo z tych kruszców dla siebie serce wykuć muszę,
Serce hartowne, mężne, serce dumne, silne.

Lecz gdy ulegniesz, serce, pod młota żelazem,
Gdy pękniesz, przeciw ciosom stali nieodporne:
W pył cię rozbiją pięści mej gromy potworne!

Bo lepiej giń zmiażdżone cyklopowym razem,
Niżbyś żyć miało własną słabością przeklęte,
Rysą chorej niemocy skażone, pęknięte.

GĘSIARKA

Z czteroletnią powagą, w spódniczce po bose
Stopki i w kaftaniku na wyrost, to wąską
Drepce miedzą, to znowu brodzi łąką grząską,
Z rannym świtem, nim słońce traw osuszy rosę.

Krasą krajką przeplótłszy lnianowłosą kosę,
Z kromką chleba w chusteczce za pasa przewiązką,
Dłoń prawą uzbroiwszy wierzbiny gałązką,
W lewej wlecze za sobą źdźbło złocistokłose.

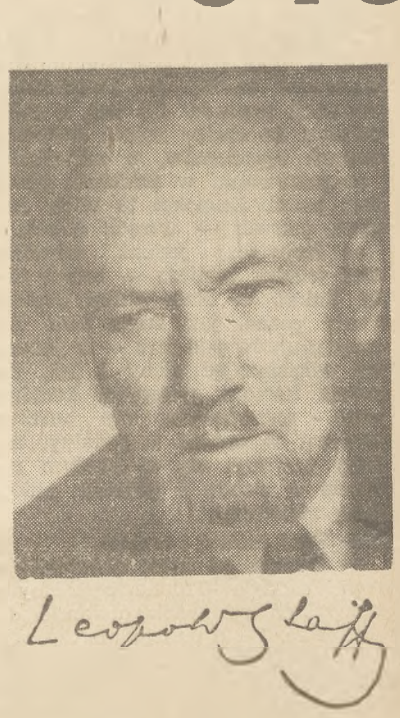
Sznur gęsi, z których każda jak łódka się słania,
Sunie jak szereg białych znaków zapytania:
Czy dziecko ich pilnuje, czy one je wiodą

Jak na śnieżnym łańcuchu, by ustrzec przed szkodą,
i odwracają szyję u każdego skręta,
Czy nie zgubiło z dłoni pastuszego pręta.

IRENA MACIEJEWSKA

O POEZJI LEOPOLDA STAFFA

(Z okazji 75 rocznicy urodzin)



Leopold Staff rozpoczynając swą twórczość poetycką w okresie największego nasilenia tendencji modernistycznych, w okresie kiedy nurt realistyczny w poezji prawie nie istniał — nie potrafił dać w pierwszym swym tomiku w „Snach o potędze" poezji nowatorskiej, realistycznej. Młody poeta dążył do przeciwstawienia się impresjonizmowi poezji współczesnej, starał się przezwyciężyć nastrojowość schyłkowej poezji. Świadectwo tych usiłowań odnajdujemy w wielu wierszach poety ze „Snów o potędze", ze przytoczę dla przykładu choćby fragment takiego utworu, jak: „Odrzućmy raz..."

„Odrzućmy raz tę głupią dla życia pogardę,
Którą się otaczamy jak żebrak purpurą.
Niosąc naszej codziennej doli jarzmo twarde,
Czoło skrywamy w dumy wyniosłość ponurą.
Pięknie nam w własnych oczach w roli bohatera
Co powali wrogiem chociaż zwyciężon umiera
Pod jego mieczem! Rzućmy tę dumę! To maska".

Rzeczywiste przezwyciężenie symbolizmu nie mogło się oczywiście dokonać poprzez akt jednorazowej krytyki tego kierunku i jego ideowego zaplecza. Dokonywało się ono w drodze powolnego rozsadzania ram poetyki symbolistycznej i nasycenia utworów wiedzą o świecie, wiedzą o życiu skrzywdzonych i bezradnych I ten proces zaczyna się rzeczywiście bardzo wcześnie, obserwujemy go już w „Dniu duszy" — drugim poetyckim tomiku Staffa. Przykładem ilustrującym ten proces będzie bardzo popularny i bardzo piękny wiersz, jakim jest „Deszcz jesienny". Jest protestem humanisty przeciwko złu otaczającego świata, jest odwołaniem się do spraw rzeczywistości, choć dokonuje się ono jeszcze tutaj w formie nieco zmitologizowanej, odrealnionej:

„Zmarł nędzarz, nim ludzie go wsparli jałmużną
Gdzieś pożar spopielił zagrodę wieśniaczą...
Spaliły się dzieci... Jak ludzie wkrąg płaczą"

Rewolucja 1905 r. pomaga poecie w przezwyciężaniu arealistycznej metody twórczej Próby odejścia od modernizmu podejmowane na rozmaite sposoby w „Dniu duszy" realizują się w zbiorze „Ptakom niebieskim" w pięknych i prostych wierszach tego typu, co „Modlitwa", „Gniew sprawiedliwy", czy „Jęk wyklętych zaułków", którego strofy brzmią oskarżeniem ustroju:

„Za tych wyklętych, spodlonych wyrzutków,
Których pięść krzywdy w twarz bije znienacka
Niechaj brzmi dzikim wyrzutem pieśń smutków
Modlitwa moja, jak krzywda prostacka".

W „Gałęzi kwitnącej" (1908) i „Uśmiechach godzin" (1910) ten typ liryki wyda swoje najpiękniejsze osiągnięcia, osiągnięcia tej miary, co „Przedśpiew", „Hora tańcząca", „Ranek nad morzem", „Południe". W takich i tym podobnych wierszach najpełniej zamknięta została wiedza poety o życiu, jego ludzki twórczy optymizm wyrosły z doświadczeń klęski:

„Znam gorycz i zawody, wiem co ból i troska
Złuda miłości, zwątpień mrok, tęsknot rozbicia
A jednak śpiewać będę wam Pochwałę Życia".

Dążenie do humanistycznego kształtu poezji wiąże się z troską o jak największą prostotę poetyckiego obrazu, z pogardą dla gestu „Kłamstwa i przesady".

W obrazach działalności ludzkiej, które prezentuje nam tutaj poeta, w licznych opisach pomników kultury antycznej widać świadome dążenie do dyscypliny słowa i myśli, świadome przeciwstawienie się rozgadaniu poetyckiemu epoki. Świat kultury antycznej i świat ojczystej przyrody — to dwa wielkie tematy twórczości Staffa z lat 1908 — 1914 i późniejszej zresztą też, to te pola na których talent poety rozwinął się najpełniej.

Współczesność i jej problematykę zbliży Staffowi wojna. Ona przekona go ostatecznie, iż rzeczą poezji jest każda sprawa ludzka, ta bliskość człowieka i żywe zainteresowanie się losami narodu czyni ze zbiorku charkowskiego jedno z najwyższych osiągnięć na drodze twórczej poety, czyni wiersze „Tęczy łez i krwi" żywymi, mimo, że od czasu ich powstania upłynęło już wiele lat. Siła oskarżenia rzuconego klasom panującym i ich rządom w takich wierszach, jak „O Francjo", „Dzień ołowiu" przerasta o wiele pacyfistyczne protesty mieszczańskich pisarzy i wskazuje na bliski w tym okresie związek poezji Staffa z masami narodu.

Tak jak liryka „Uśmiechów godzin" zawarła w sobie piękno i ból życia pokojowego, tak „Tęcza łez i krwi" w najlepszych swych osiągnięciach zamknęła poetyckie doświadczenia podstawowych mas narodu z okresu I wojny imperialistycznej. Znaczenie „Tęczy łez i krwi" jest wielkie m. in. dlatego, że zamyka ona i niejako podsumowuje ten długi okres twórczości, który od „Gniewu sprawiedliwego", poprzez „Krysta spod płota" i „Łzy" oraz lirykę osobistą i lirykę krajobrazu, doprowadził do takich realistycznych osiągnięć, jak „Gęsiarka" i „Dzień ołowiu", do takich uogólnień, jak to, którym zamyka się tomik charkowski:

„Ilekroć wzniesie się w górę miecz....,
upada w dół coś z wielkich skarbów
życia i człowiek i dzieło człowieka"

Wchodząc w niepodległość — jak większość naszych twórców — Staff łączył z nią wiele nadziei, sądził, że wolna Polska zmieni oblicze świata, że otrze łzy cierpiącym, że stanie się ojczyzną ludzi wolnych i szczęśliwych. Rzeczywistość kapitalistycznego państwa zawiodła oczekiwania i nadzieje pisarza. Poezja Staffa mówi o tym rozczarowaniu w sposób wyraźny, mówi poprzez zwężenie poetyckiej problematyki, poprzez ograniczenie do opierania nieważnego szczegółu życia („Gnój", „Wieprz", „Pies" itp.), poprzez uporczywe pomijanie zasadniczych spraw epoki. Staff, który — jak widzieliśmy przedtem — nie przechodził obojętnie wobec zagadnień bieżącego życia, wobec wielkich wydarzeń społecznych i politycznych (stosunek do rewolucji 1905 r., do wojny imperialistycznej lat 1914—18) — teraz cofa się.

Świadectwem rozczarowania i zawiedzionych nadziei pisarza jest m. in piękny wiersz napisany ku uczczeniu śmierci Stefana Żeromskiego.

„Wyszedł z niewoli, wolności łakomy,
Wolności świetnej, wspaniałej ojczyzny,
Brał w piersi wszystkie pioruny i gromy,
By nie zasnuły pamięci ran — blizny.
Toczył obłędnym rozpaczy spojrzeniem,
Spalał się sercem jak wieczna pochodnia
I dookoła patrzył z przerażeniem
Na małość, ugodę, brud i podłość co dnia".

Wydana w 1936 r. „Barwa miodu" przynosi dalszy rozwój poezji Staffa w kierunku nasycania jej treściami ludzkimi. Świadomość, że istnieją w otaczającym świecie konflikty nierozwiązalne, takie z którymi nawet teoretycznie poeta poradzić sobie nie potrafi, nie zabije jego poetyckiej aktywności:

„W sobie zestrajam sprzeczny ten świat, Apollinie,
Boś chyba po to tylko dał mi lutnię w ręce"

— pisze poeta w „Barwie miodu" a nieco dalej w poetyckim wyznaniu tego czasu — mówi, że pisze nie po to, by...

„...świat dziwnością zdumiał
Lecz by się kształtem stała chwila
I abyś bracie mnie zrozumiał
I niech wiersz, co ze strun się toczy.
Będzie przybrawszy rytm i dźwięki
Tak jasny, jak spojrzenie w oczy
I prosty, jak podanie ręki"

Obrona humanistycznego sensu poezji i jej praw do wyrażenia najprostszych ludzkich uczuć i wzruszeń świadczy, że również w dwudziestoleciu żywy jest w poezji Staffa nurt humanistyczny, ten nurt, który niezawsze dobijając do realizmu, ciąży jednak ku niemu i w którym powstają najlepsze, najżarliwsze utwory poety Wiemy przecież, że wartość poezji Staffa nie zasadza się na tworzeniu wielkich poetyckich syntez współczesnej poecie rzeczywistości, bo tych syntez twórczość autora „Uśmiechów godzin", „Wysokich drzew" i „Martwej pogody" dać nie potrafiła Polega ona na umiejętności odkrywania tych cząstkowych prawd, z których się życie układa, polega na pięknym, realistycznym odtworzeniu zwyczajnych ludzkich uczuć radości i optymizmu, smutku, rozgoryczenia i zawodu, polega na wnikliwym przedstawieniu psychiki człowieka.

Irena Maciejewska

CZESŁAW SCHABOWSKI

TRUDNY

Po konferencji z siemkowickim aktywem zetempowskim postanowiłem rozpocząć pracę świetlicową w nie wykończonej wejściowej sali zamku. Miała ona podpodłoże z desek nie heblowanych, na których ma być położona w przyszłości kostka. Poprosiłem Wydział Kultury w Łodzi o stoły, krzesła, gry i radio, po czym zabrałem się do organizowania młodzieży interesującej się świetlicą.

Dopinguje mnie tow. Sionkowski, członek KG, komendant miejscowego posterunku MO. Od niego też dowiedziałem się dość wiele, jak na początek, o Siemkowicach:

Sekretarz KG, tow. Bartoszewski, postrzelony śrutem w twarz przez sąsiada polującego na kuropatwy, leży od 4 mies. w szpitalu w Wieluniu.

Siemkowice i wsie sąsiednie, to teren działalności zlikwidowanej kiedyś zgrai bandziora „Błyskawicy"; do niedawna grasowała tu banda złodziejaszków tak bezczelnych, że w biały dzień potrafili przecinać na stacji druty od semaforów i w ten sposób zatrzymane pociągi towarowe rabować.

Niemal całe życie „kulturalne" koncentruje się na plebanii: tam jest parafialna orkiestra, chór i prywatna biblioteka księdza proboszcza, wiadomo z jaką lekturą... Wszelkie sprawy gminy omawia się zazwyczaj w dwu potajemnych knajpach, u „Babki" czyli u obywatelki Kucharskiej oraz u „Ciotki", ob. Dziwińskiej, dokąd nawet i młodzież często zagląda.

— Cóż im zrobisz? — powiada Sionkowski. — Nawet gdy się przydybie towarzystwo przy butelce u „Ciotki" czy u „Babki", nikt jej nie wyda. Nawet przewodniczący GRN rzekłby: „Przynieślim wódkę z domu i bawimy się. A co, nie wolno? Konstytucja nie zabrania!"

Jednym słowem, teren — paluszki lizać. Kiedy na przykład, roztaczałem przed zetempowcami perspektywy wieczorów z rozrywkami, przewodniczący wiejskiego koła ZMP, Janek Kowalczyk, na słowo ping-pong wytrzeszczył oczy i spytał:

— A co to?

— Tenis stołowy.

— A to znów co za diabeł?

4.III. Przed chwilą próbowałem czytać w świetlicy „Grenadę" Swietłowa i „Mister Twister" Marszaka — popisowe moje recytacje — i szło, jak z kamienia. Kowalczyk flirtował z Hałaszkiewiczówną, Krzysiek Tomczyk z Krawczykówną, „Kopa" z Marysią Szczupakówną, Kleszczyński z Duwińską, a reszta podśmiewała się, chichotała:



Rys. B Horska

jakby wszyscy zmówili się, aby mi przeszkadzać.

Kiedy wczoraj spróbowałem czytać Wiecha — było to samo, co na poprzednim wieczorze: śmiechy, chichoty, złośliwe uwagi o mojej osobie...

9.III. Nie robię nic; świetlicę puściłem samopas, postanawiając poczekać aż wróci ze szpitala tow. Bartoszewski i pomoże mi „po linii partyjnej". Zresztą postanowiłem poznać głębiej specyfikę terenu i do niej przystosować przyszłe formy mej pracy. A teren — niech go diabli!

12.III. Zajęcia świetlicowe ograniczają się tylko do gier: warcaby, „Szlakiem zwycięstwa". „Zespół wygrywa". Szachów nikt tu jeszcze nie zna. Szkoda, że nie mamy ping-ponga. Ale dobrze, iż na to słowo, nikt już oczu nie wytrzeszcza.

15.III. Doniesiono prezydium PRN, że nic nie robię. Przyjechał stamtąd kierownik referatu kultury, ob. Przybylski i nuże na mnie! Pozwoliłem mu się wygadać, a potem wyjawiłem mój punkt widzenia na organizowanie życia świetlicowego w Siemkowicach, żądając przede wszystkim radia i wolnej ręki w tutejszej polityce kulturalnej. Zgodził się, ale pod warunkiem, że ukonstytuuję zarząd świetlicy, zorganizuję zespół dobrego czytania, zespół teatralny i założę dziennik zajęć oraz kontrolkę.

18.III. Wrócił wreszcie ze szpitala Bartoszewski, będę mógł z nim pogadać. Jeszcze jest w Chorzewie, ale gdy trzeba będzie, pójdę te cztery kilometry do niego i wreszcie się z nim poznam, poradzę we wszystkim. Sionkowski mówi, że Bartoszewski jest towarzyszem wyrozumiałym, ale nie umie podejść do człowieka. Jeśli przypadkiem ktoś do niego trafi, zrobi to, co do sekretarza KG należy, każdego załatwi należycie.

20.III. Dopiero przedwczoraj poznałem sekretarza: jest to wysoki, szczupły blondyn o szczerym wejrzeniu i niewątpliwej żarliwości rewolucyjnej. Wszystko, co mu przedstawiłem, zaaprobował bez poprawek. Wyraził radość, że będzie miał we mnie pomoc. Zaraz też wytypował mi ludzi do zarządu: wiceprzewodniczącego prezydium GRN Marchewkę, nauczyciela Popczyka i nauczycielkę Dymkównę oraz trzech aktywistów świetlicowych, ludzi z ZMP: Janka Kowalczyka, Perdka Stasia i Henię Ciekańską, która weszła i z ramienia prezydium, jako referent socjalny.

Co do Popczyka, to mam nadzieję, że mi dużo pomoże: ledwiem się pokazał w Siemkowicach, założył on kółko teatralne, którego członkowie jednak nie chcą korzystać ze świetlicy; na moje nalegania, żeby od-

JANINA MAZAN

Głosy w dyskusji

Kłopoty z programem nauki o literaturze

Na łamach prasy literackiej i w regionalnych gazetach codziennych toczy się interesująca dyskusja wokół nauczania literatury w liceach. Warto zapamiętać, że dyskutanci wypowiadali się ujemnie o pracy polonistów ze szkół średnich.

Uczę właśnie literatury ojczystej od szeregu lat w klasach licealnych — i z tej racji chciałabym wskazać przyczyny, które, moim zdaniem osłabiają skuteczność naszej nauczycielskiej pracy, obniżając poziom i zakres wiedzy młodzieży o literaturze.

Przede wszystkim krępuje nas program nauczania. Mamy ułożone proporcje, czyli godziny na poszczególnych pisarzy; przesądza to z góry powierzchowność naszej pracy. Musimy poprzestać na omówieniu jednego lub dwu problemów w twórczości pisarza; wobec tego pomijamy niektóre cele wychowawcze. Najczęściej zaniedbujemy kształcenie smaku artystycznego, wrażliwości estetycznej w naszych wychowankach. Nie przypadkowo podkreśla się w dyskusji, że artystycznej strony dzieła literackiego młodzież licealna ocenić nie potrafi.

Przykłady: Na omówienie Sienkiewicza program przeznacza w X klasie 6 godzin lekcyjnych, z czego na wybór nowel przypada 2 godziny, na „Potop" 3 godziny i 1 godzina na „wiadomości o innych utworach Sienkiewicza, na artyzm jego powieści, na sądy Prusa i Nałkowskiego o Sienkiewiczu".

Jest rzeczą niemożliwą omówienie w jednej godzinie tylu zagadnień. Dorobek Sienkiewicza jest wielki. Zbywanie strony artystycznej jego utworów kwadransikiem — jest chyba niedopuszczalne.

Toczy się w kraju wciąż odnawiana dyskusja o tym pisarzu; mówią o nim czytelnicy, błądzą w ocenach bibliotekarze i sami nauczyciele — a program o tym ani słowa. Nie ma także wzmianki o najnowszych pracach Baculewskiego czy Sandlera na temat Sienkiewicza.

Albo sprawa Kraszewskiego w programie nauczania dla liceów. Jak wiadomo, z pism Kraszewskiego całe pokolenia, zwłaszcza chłopskie, uczyły się i uczą historii narodu. Tymczasem program nauczania ogranicza się tylko do takiego ujęcia: „J. Kraszewski — życie i twórczość, walka ze stosunkami niewolniczo - pańszczyźnianymi — Ulana". I przewiduje na wszystko — 2 godziny. Tymczasem Kraszewski — to pisarz, ze względu na różnorodność zainteresowań i rozwój ideowy, niezwykły i jakże przy tym płodny! Należałoby go znacznie szerzej w programie omówić.

Zdaję sobie oczywiście sprawę z tego, że materiał w klasie X jest zbyt obszerny — i że poszerzać go, znaczyłoby tyle, co kręcić powróz na nauczycielską szyję. Jakież więc wyjście? Podobnie, jak Henryk Zasada z Tarnowa („Głos Nauczycielski") sądzę, że dobrze byłoby zacząć systematyczny kurs literatury polskiej już w drugim półroczu klasy VIII. Uzyskalibyśmy wtedy możność przerobienia XV i XVI wieku. Grozi i tu pewna trudność: — nie będzie korelacji z historią. Daleko ważniejszy jednak brak polega na czym innym. Historycy nie pracują dobrze. Rzadko który polonista może prowadzić wykład, nie dając nieraz obszerniejszego wstępu historycznego, gdyż młodzież ma słabe pojęcie o epoce.

Nie kończą się na tym nauczycielskie trudności. Program przewiduje omawianie fragmentów poszczególnych utworów literackich. Wyrabia to w młodzieży złe nawyki. Z jednej bowiem strony my — nauczyciele charakteryzujemy pisarza, czy całe okresy jego twórczości w sposób niepełny; z drugiej — program zaleca czytanie „kawałeczków" skutkiem czego młodzież lekceważy pisarza. Wypływa stąd jeszcze jedno zło: młodzież szkolna mało czyta. Zgodzi się ze mną zapewne wielu nauczycieli, że młodzież mało czyta między innymi dlatego, że podajemy jej literaturę w ogólnikach lub urywkach. Nie umie jej dobrze analizować, nie zna smaku dyskusji. Brak miejsca w programie powoduje, że trudno nam zapalić młodzież do czytania literatury.

Trudno mi doprawdy źle sądzić młodzież z Liceum w Czudcu. Nie czyta należycie literatury pięknej — to prawda, ale przecież setki godzin poświęca pracy w ogrodzie doświadczalnym lub cieplarni walcząc o powiększenie dorobku nauki rolniczej. Młodzież nasza kocha przyrodę; wychowuje ją specyficzna atmosfera doświadczeń agrobiologicznych i wniosków praktycznych. Zainteresowania naszej młodzieży idą wybitnie w kierunku biologii, jednak bez uszczerbku dla innych dziedzin nauki. Szlachetny zapał młodzieży do pracy społecznej należałoby podniecać nie tylko w kole naukowym biologów - miczurinowców, ale również na innych kółkach naukowych i w samej pracy szkolnej. Wiele może tu zrobić polonista. U nas, dla przykładu „Kolchida" Paustowskiego i fragmenty opowiadania Gonczara „Mikita Bratuś" (omówione w gronie młodych biologów z klasy VIII) tak dalece zapaliły młodzież do doświadczeń agrobiologicznych, że pisze sama niejako ciąg dalszy tych opowieści w naszym przyszkolnym ogrodzie, na naszych poletkach bawełny, zaślanu i ryżu.

Oto co może zdziałać lektura i polonista pod warunkiem, że dostosuje książkę do konkretnych warunków i najżywotniejszych zainteresowań młodzieży.

Ostatni to problem, jaki chciałam postawić. Nauczyciel - polonista powinien mieć nieco swobody, pewną rezerwę czasu, którą wypełni lekturą specjalnie uwzględniającą charakter i warunki, w jakich szkoła pracuje. Każda szkoła, niezależnie od wspólnych przecież założeń ideowo - wychowawczych, ma własne oblicze, na które składa się pochodzenie społeczne młodzieży, warunki środowiska, konkretne potrzeby terenu. Te warunki polonista powinien wyzyskać przez dobór odpowiedniej lektury. Tu bowiem humanistyka dopomaga w kształceniu zawodowym — w najistotniejszym, bo trwałym sensie, wiążąc młodzież z książką.

Janina Mazan



Foto. A Musiał

WŁADYSŁAW WOROSZYŃSKI

WIĘCEJ TROSKI O NAUCZYCIELA



Wł. Woroszyński w otoczeniu uczni

W gromadzie, czy w gminie my — nauczyciele skupiamy z konieczności w swoich rękach prace, które w mieście rozłożone są na szereg instytucji. Żądając od nauczyciela wypełniania kilku, czasem nawet kilkunastu funkcji społecznych, często pozbawiamy go elementarnych warunków wykonania podstawowych zadań w szkole. Życie pokazuje, jak często uderza się w terenie w najbardziej fundamentarny obowiązek nauczyciela. w prowadzenie szkoły na wysokim poziomie:

Jestem od 6-ciu lat dyrektorem szkoły ogólnokształcącej w Czudcu na Podkarpaciu. Jest to typowa wieś rzeszowska. Wśród 2.000 jej mieszkańców zdecydowanie przeważa chłopska biedota.

Z wielu swych doświadczeń chciałbym zwrócić uwagę na jedno, niezwykle ważne dla pomyślnej pracy nauczyciela na wsi. Chodzi mi o stosunek tzw. „czynników" do nauczycieli. Doświadczyłem na własnej skórze co mogą z nauczycielem robić niektórzy przedstawiciele miejscowych władz. Zagrożono mi np. skargą do władz wyższych, jeżeli nie skieruję odpowiedniej liczby nauczycieli do pracy przy sporządzaniu w GRN wykazów należności chłopów w zbożu, mięsie, ziemniakach itp.

Nauczyciele naszej szkoły przez wiele dni, nieraz do późnej nocy chodzili po podgórskich wioskach, kontrolując kwity i sporządzając wykazy. Samej akcji skupu poświęcili we wrześniu i październiku 290 godzin plus 315 godzin pracy starszych uczniów.

Tego rodzaju prace mogliby z powodzeniem wykonać pracownicy GRN i GS we własnym zakresie.

Wygodnictwo naszych miejscowych „czynników" i ich nieumiejętność operowania kadrami powoduje, że jesteśmy przeciążeni pracami. Cierpią na tym wychowankowie; jak słusznie ostatnio podkreśla prasa — pracujemy źle, nie wychowujemy należycie młodzieży.

Nie zrozumcie mnie źle. Wcale nie chcę powiedzieć, że my nauczyciele nie powinniśmy brać udziału w tak poważnych politycznie akcjach, jak np. skup. Chodzi jednak o to, aby nas wykorzystywano właściwie, a nie przy przepisywaniu papierków.

Od lat prosimy szereg instytucji — takich, jak GRN, czy GS — o pomoc w urządzaniu różnych uroczystości. Daremny trud! A przecież pracuje tam zazwyczaj kilkudziesięciu ludzi!

Szczerze mówiąc, toczymy walkę o uwolnienie nauczyciela od dodatkowych zajęć. Nauczyciele zawsze chętnie rzucają się w wir życia społecznego wsi. Tysiące nauczycieli w terenie — to znani sadownicy, pszczelarze, agrotechnicy, kierownicy chórów, zespołów świetlicowych, to nawet publicyści i pisarze!

Przy naszym liceum, mieszczącym się w pomagnackim pałacu, posiadamy 2 ha gruntu.

Dotychczasowe doświadczenia w dziedzinie agrobiologii uzupełniłem studiami nad Miczurinem i Łysenką. W lutym 1951 roku założyłem pierwsze w tych stronach kółka miczurinowskie. Młodzież — nasz najcenniejszy kapitał, z wielkim zapałem ruszyła do pracy. Dziś przodujemy — jeżeli chodzi o młodzież szkolną — w całym kraju. Na wystawie rolniczej w Jarosławiu eksponaty rolnicze, wystawione przez naszą szkołę ogólnokształcącą, zyskały sobie powszechne uznanie.

Nasz szkolny ogród jest nie tylko miejscem wycieczek, ale i swojego rodzaju wzorcownią i poradnią dla okolicznych chłopów. Wiadomości zdobyte w szkole przenoszone są niezwykle szybko na gospodarstwa. Nieustannie gościmy u siebie chłopów, ciekawych nowych upraw i metod pracy w rolnictwie. Nasza młodzież dyskutuje w domu osiągnięcia miczurinowców, zwalczając rutynę i przesąd w gospodarstwie rolnym. Cała okolica toczy gorące spory na temat możliwości wprowadzenia na podkarpackie biedne ziemie nowych upraw.

Warto tu podkreślić, że nasza szkoła ma charakter zbiorczy. Ściąga ona każdego rana młodzież nawet z gromad odległych o kilkanaście kilometrów. Dla walki o nowoczesne rolnictwo, dla przenoszenia w jak najszersze okolice osiągnięć nauki Miczurina-Łysenki jest to zjawisko bardzo pożyteczne. Wpływ nasz bowiem sięga daleko poza granice małych pól Czudca.

Na biednych, zacofanych wioskach Rzeszowszczyzny mówi się o hodowli bawełny, ryżu, sorgo i innych nieznanych dotąd roślin. Już szeroko stosuje się tam uprawę pszenicy krzaczastej.

Niemałą wymowę ma też fakt ożywienia kulturalnego gminy. Opiekujemy się bibliotekami, ożywiamy zespoły artystyczne, opracowujemy łącznie z młodzieżą plany pracy dla świetlic. A nade wszystko kształcimy kadry. Wychowanka naszej szkoły, Irena Szeliga, po ukończeniu Uniwersytetu Jagiellońskiego, powróciła do pracy w rodzinne strony. Za nią przyjdą inni. Pewna grupa młodzieży zostaje w terenie, po ukończeniu naszej szkoły. Są to kierownicy zespołów artystycznych, chórów, bibliotek.

Dobrze pracujący w szkole nauczyciel, najlepiej oddziaływuje kulturalnie i politycznie na wiejskie środowisko. Osobiście i poprzez młodzież. Natomiast nauczyciel w rękach niedbających o rozwój kultury „czynników" stacza się często do roli „popychadła" bez większego pożytku społecznego.

Myślę, że mój głos wywoła wypowiedzi nauczycieli pracujących po gromadach i gminach. Czas bowiem najwyższy przedyskutować rolę szkoły i nauczyciela na wsi.

Władysław Woroszyński

Z pamiętnika kierownika świetlicy

POCZĄTEK

bywali próby pod moim okiem, odparli: „Jeszcze poczekamy". Popczyk już mnie przekonał, że gdy wystawi „Jowialskiego", to przyciągnie zespół do świetlicy. Abym tylko pomógł radami podczas prób. Zgodziłem się, lecz w praktyce okazało się to trudne: zespół Popczyka odbywa próby w remizie akurat wtedy, gdy ja mam zajęcia świetlicowe w zamku. Ale podobno próby idą dobrze i należy się spodziewać, że siemkowiczanie będą podziwiać Fredrę z „Jowialskiego". A zresztą, czy nie można założyć jeszcze jednego zespołu teatralnego? Pogadam z Kowalczykiem: Janek chociaż ma lat 17, cieszy się jednak wielkim mirem i pośród starszych chłopców.

20.III. Kowalczyk rzekł mi otwarcie, że nie ma co się trudzić, gdyż wszystkich chętnych amatorów skaperował Popczyk, a zetempowcy grać na scenie nie chcą. Nie ma więc innej rady, tylko zdobywać sobie sympatyków drogą osobistych kontaktów. Jeśli potrafię mieć wpływ na ludzi w życiu codziennym, nie ulega wątpliwości, że łatwiej potem będzie mi wciągać ich do zespołów, ba, nawet do spółdzielni!

Nad stawami chłopcy zaczęli rzucać płaskimi kamieniami w wodę, „puszczać kaczki".

Przyłączyłem się więc do ich zabawy. Chłopcom spodobało się, że taki poważny facet bawi się na równi z nimi. Ale Kazik zaproponował:

— Ano, kto zrobi więcej kaczek?

— Dobra!

Rzucił Stokowski: raz, dwa, pięć, osiem. Sporo.

Potem Janek: pięć, dziewięć, dwanaście! Dużo!

Kolej na mnie: wybrałem najbardziej płaski kamień, kucnąłem nad wodą, rzuciłem: kamień mój odbił się od tafli wodnej czternaście razy. Chłopcy spojrzeli na mnie z uznaniem.

— Pan chyba pisze ciekawe książki — odezwał się znów Kazik.

— Mogę wam coś przeczytać w świetlicy i wtedy zobaczycie.

Nie wyszło; do świetlicy zwaliła się taka hurma dzieci, że każda próba kończyła się sromotnym fiaskiem.

*

25.III Był Przybylski i w kontrolce dużymi literami jak byk, napisał: „polecono zorganizować zespół teatralny oraz zespół dobrego czytania". Na moje uwagi i nieśmiałe propozycje, popierane argumentami o specyfice otoczenia, rzekł:

— Co się będziemy bawić w jakieś „kaczki". Weź pan jakąś ciekawą książkę, zacznij czytać i proszę urwać w miejscu najbardziej emocjonującym. Potem słuchacze sami poproszą o „dalszy ciąg" i zespół czytelniczy gotów.

Rzeczywiście! Stary praktyk z tego Przybylskiego! Że mnie to do głowy nie przyszło!

Jednak zastanawiłem się, głośno:

— Dlaczego więc w innych świetlicach tak trudno zorganizować stały zespół czytelniczy? Czy kierownicy świetlic nie umieją przerywać czytania w odpowiednim momencie?

— Innym jest trudno. A panu, tak zaangażowanemu w dziedzinie literatury, powinno pójść, jak z płatka. Przecież od tegoś pan literat.

Może Przybylski ma rację. Spróbuję.

— Może więc zostałby pan na wieczór, pomógł mi? Literatura, literaturą, ale pańskie doświadczenie też coś znaczy.

Przybylski wykręcił się sianem. Aby jednak zatrzeć niemiłe wrażenie wywołane jego odmową, żegnając się ze mną, dodał:

— Mam do pana kompletne zaufanie.

Istotnie, zaufanie do mnie miał tak duże, iż nigdy nie przyjechał na wieczorne zajęcia świetlicowe.

26.III. Uważając, iż najtrudniej jest zacząć, a potem pójdzie jak po maśle — nie zapowiadałem nic, lecz o godzinie 21, podczas najsilniejszego nasilenia pogwarek w świetlicy przerywam pogaduszki słowami:

— Proszę o kilkanaście minut ciszy: poczytamy trochę.

Wiedząc już, że na Janka mogę trochę liczyć, poprosiłem go, aby zamknął drzwi na klucz.

Zacząłem czytać. Szło — koncertowo. Bez przechwałek: czytałem jak do radia. Oczywiście musiałem raz czy dwa razy grzmotnąć w stół i krzyknąć: „cicho tam!" i jakoś uspokajało się. Mieć taką ciszę podczas czytania w świetlicy — serce rośnie!

Zacząłem się upajać własnym



Rys B. Horska

czytaniem. Wytwarzałem ciche nastroje, szepty, uniesienia, napięcie. W świetlicy nadal — jak makiem siał. Kochani świetliczanie! Teraz tylko umieć przerwać tak, żeby burza oklasków dopełniła reszty, zwabiła na jutro pół wsi do świetlicy.

Ale gdym spojrzał przed siebie — opanował mnie taki szaleńczy śmiech, aż się sam przestraszyłem, czym nie popadł w obłęd: w świetlicy nie było ani żywego ducha.

Dopadłem drzwi: zamknięte. Z drugiego końca sali powiał wiatr i musnął mnie po rozognionym czole. Ochłonąłem, spojrzałem przytomniej w stronę skąd powiało: dwa okna były otwarte na roścież.

Nawet Janek zwiał.

Co robić...?

Czesław Schabowski

ANNA BUREK

Rezerwy aktywu świetlicowego

KIEDYŚ, w Łyszkowicach (pow. Łowicz) rozwijało się życie kulturalno - oświatowe, sport, był zespół muzyczno - artystyczny. Gdy cukrownię w Łyszkowicach zlikwidowano, ludzie rozproszyli się i zamarło życie świetlicowe". Tak pisze nasz korespondent. A nie jest to głos odosobniony. Często zdarza się, że w dobrze pracującej świetlicy zaczyna zamierać życie: rozpadają się jeden po drugim zespoły artystyczne, maleje ilość uczestników kursów wiedzy rolniczej czy zespołów czytelniczych. Świetlica, która miała niejednokrotnie ambicje szerokiego oddziaływania na sąsiednie gromady, przestaje oddziaływać nawet na życie swojej wsi. Przyczyny tego stanu są prawie zawsze jednakowe: brak opieki i pomocy ze strony władz nadrzędnych, rad terenowych, organizacji społecznych odpowiedzialnych za pracę świetlic i odchodzenie członków zespołu ze wsi. Jeden, czy drugi z członków zespołu dramatycznego, powołany zostaje do wojska, solistka chóru wychodzi za mąż „na drugą wieś", jeszcze inni odchodzą do pracy w mieście czy do SP, innym powierzona zostaje praca na ważnych odcinkach, która nie pozwala im brać aktywnego udziału w pracach świetlicy. „Jest biblioteka, są piękne książki — pisał np. Stefan Janczak ze wsi Czartki — ale nie ma ich kto czytać. Część chłopców, którzy roznosili książki po wsi i namawiali ludzi do czytania, jest w brygadach SP, część poszła do wojska — tak, że prace te upadły".

Przykłady można mnożyć. W momencie, gdy dotychczasowy aktyw z tych czy innych względów odchodzi od świetlicy, powstaje wokół niej pustka. A więc dawny aktyw i kierownictwo świetlicy nie umiały wychować sobie zastępców, nie potrafiły dostrzec w widzach — przyszłych aktorów, w zwykłych czytelnikach — przyszłych kierowników zespołów czytelniczych, w dobrych gospodarzach — przyszłych kierowników kursów wiedzy rolniczej, w kolegach harcerzy czy ZMP-owców, pracujących jako księgonosze — ich następców, gdy ci pójdą do szkół czy na inny odcinek pracy. Dawny aktyw i kierownictwo świetlicy nie potrafiło więc zapewnić ciągłości pracy. A dlaczego? Bo nie patrzyli oni naprzód, traktując istniejący w gromadzie stan rzeczy jako niezmienny — nie widzieli perspektyw jej rozwoju. A przecież w większości wypadków odejście od czynnego uczestnictwa w życiu świetlicy spowodowane jest awansem społecznym ludzi wsi, w gromadzie, czy w gminie, przejściem do pracy w POM-ie, objęciem odpowiedzialnych stanowisk w ZMP, czy ZSCh. Ci ludzie często — nie przekreślając dalszego swego współuczestnictwa w życiu świetlicy — nie mogą nadal, ze względu na nowy rodzaj pracy, być jej kierownikami i aktywnymi członkami.

Sprawa rezerw w pracy świetlicowej jest więc sprawą zasadniczą dla jej pomyślnego działania; wiąże się bowiem ściśle z problemem rozwoju kulturalnego, awansu wszystkich mieszkańców gromady.

Powróćmy jednak do Łyszkowic. Rozwijało się tu przez 2 lata życie kulturalne, istniał zespół muzyczny i dramatyczny. W tej chwili poszczególne organizacje usiłują rozbudzić wieś na nowo. TPP-R zorganizowało kurs języka rosyjskiego; kierowniczka biblioteki gminnej Maria Kuriatówna energicznie wzięła się do werbunku czytelników. Ale kurs języka rosyjskiego kuleje: na poszczególnych lekcjach bywa po dwie-trzy osoby. Kol. Kuriatówna, choć sama potrafiła pewnego dnia zachęcić 20 osób do wzięcia udziału w IV etapie konkursu czytelniczego, nie znajduje pomocy w swoich poczynaniach. Ci ludzie, którzy podjęli się „postawić na nogi" życie kulturalne Łyszkowic, zbierają owoce tej krótkowzrocznej polityki, którą prowadzili poprzedni kierownicy świetlicy i jej aktyw.

Wydobycie rezerw ludzkich do pracy świetlicowej nie będzie w tej chwili w Łyszkowicach sprawą prostą, nie będzie nią w żadnej gromadzie, w której popełniono tego rodzaju błędy. Rezerwy te jednak istnieją; szukać ich trzeba pośród przodujących gospodarzy, a przede wszystkim pośród młodzieży.

We wsi Porębka (woj. Stalinogrodzkie) nie najlepiej działo się dotąd ze świetlicą. Do roku 1953 praca oparta była na wysiłku pojedynczych ludzi. „Wysiłki garstki działaczy skierowane były ku temu, aby wprowadzić pewną stabilizację do pracy, zorganizować ją. Udawało się to na krótko i znów rwało" — pisze jeden z członków zarządu świetlicy Jan Jelonek. 14 listopada br. zorganizowane zostało na nowo życie świetlicowe, utworzony został zarząd, powstały zespoły: sceniczny, chóralny, upowszechnienia wiedzy rolniczej i redakcyjny. Plan pracy przewiduje utworzenie zespołu czytelniczego oraz prowadzenie pogadanek na tematy naukowe. „Poprzedni przewodniczący ZMP poszedł do wojska a na jego miejsce wszedł Eugeniusz Ciura, chłopak mądry i ambitny; szybko dogadaliśmy się — i świetlica w ciągu najbliższych dni otrzyma do swojej dyspozycji bibliotekę złożoną z kilkuset książek i aparat radiowy. Kol. Antoni Dzieło zobowiązał się zająć zespołem chóralnym i scenicznym, w czym pomogą mu sportowcy — pisze Jan Jelonek.

W skład zarządu weszli: przedstawiciele KG przewodniczący miejscowej spółdzielni produkcyjnej, sołtys, nauczyciel. Tak więc ludzie odpowiedzialni za życie polityczne, gospodarcze i oświatę, dążąc do uzdrowienie stosunków panujących w świetlicy, wzięli na siebie obowiązek pokierowania pracą kulturalno - oświatową, jednocześnie we właściwy sposób ustawiając w tej pracy młodzież. Aktyw uznał młodzież za swojego pomocnika, uważając ją za źródło kadr i rezerw do prowadzenia pracy świetlicowej. Zerwano z zasadą „garstki działaczy" i w ten sposób świetlica w Porębce stanie się z pewnością istotnym czynnikiem podniesienia kulturalnego poziomu jej życia i jednym z elementów, który zdecyduje o awansie chłopa wewnątrz gromady.

W Łyszkowicach prezes zarządu gminnej spółdzielni Czesław Nowogórski ma zamiar zająć się świetlicą. Zastanówmy się gdzie ukryte są siły, które pomogą mu w pracy, gdzie kryją się na terenie gminy Łyszkowice rezerwy aktywu świetlicowego. Świetlica w Łyszkowicach jest bowiem świetlicą gminną — tak więc w skali oddziaływania, jak i w możliwościach stworzenia właściwego zaplecza dla swojej pracy ma ona wielkie możliwości.

W gminnej spółdzielni „Samopomoc Chłopska" pracuje około 80 ludzi; większość z nich — to młodzież. Jest jej sporo wśród pracowników gminnej rady. To jest punkt bardzo ważny. Młoda inteligencja wiejska powinna iść w czołówce postępu kulturalnego i gospodarczego wsi. Tak więc nie tylko zespół artystyczny, o którego powstanie zabiega prezes Nowogórski, ale i inne — powinny stać się polem działania młodzieży GS-u i Rady Narodowej w Łyszkowicach.

Koło ZMP w Łyszkowicach jest słabe. Jego praca polega tylko na okresowych zajęciach jak „przygotowanie dwóch lub trzech piosenek na okolicznościowe uroczystości... A jak młodzież pomaga w akcji obowiązkowych dostaw dla państwa? Ani tak, ani tak. Nie pomaga wcale". Mimo to, koło ZMP, liczące 30 członków, powinno podołać pracy, jaka stoi przed młodzieżą w Łyszkowicach. Trzeba jednak aby z całą ostrością postawić przed nim wagę zadań politycznych, jakie ma do spełnienia i wskazać na świetlicę, jako na placówkę, mogącą przysłużyć się do ich realizacji. Praca Marii Kuriatówny, która oprócz biblioteki gminnej prowadzi punkty biblioteczne w okolicznych gromadach, będzie dopiero wtedy w pełni wydatna jeśli, przy pomocy ZMP znajdzie tam swoich pomocników-agitatorów, księgonoszy, jeśli doświadczenia jej pracy przenoszone będą na teren świetlicy gminnej, tu będą omawiane i twórczo wykorzystywane w innych gromadach.

Kwestia rezerw aktywu świetlicowego, szerzej ujmując sprawę aktywu kulturalno - oświatowego na wsi jest rzeczą bardzo istotną. Łyszkowice są tylko przykładem. Ale trzeba aby przemyśleli go w odniesieniu do własnego terenu wszyscy kierownicy świetlic, wiejskich domów kultury, bibliotekarze.

Anna Burek



Obraz „Wyzwolenie Warszawy" wykonany przez Stanisława Kundę, rolnika ze wsi Janiny, pow. Augustów. Otrzymał on III nagrodę Zw. Samopomocy Chłopskiej



Wycinanka kurpiowska Stanisławy Bakuły ze wsi Strzałki, gmina Kadzidło, wyróżniona przez Min. Kultury i Sztuki

Z I-ego konkursu plastycznego dla wsi

BARBARA LIPIŃSKA

DROGĄ ROZWOJU — WSPÓŁPRACA Z PLASTYKAMI

Gorącą dyskusję wzbudziła wśród członków jury konieczność oceny, niespotykanego do tej pory w sztuce ludowej działu malarstwa sztalugowego. Z punktu widzenia dawnych teoretyków sztuki ludowej jest to zjawisko jakoby merytorycznie fałszywe. Malarstwo sztalugowe wymaga jednej z najtrudniejszych technik sztuki profesjonalnej; było ponadto obce sztuce ludowej, opartej na małych formach. Pora już jednak na zrewidowanie takich kryteriów. Ilja Erenburg pisząc o psychologii twórczości, określa ją w sposób następujący: **„pisarz dlatego pisze książkę, że nie może pokonać w sobie pragnienia opowiedzenia ludziom czegoś własnego... dlatego, że dostrzegł ludzi i zjawiska, których nie może nie opisać. Tak powstają dzieła wypełnione wielkimi namiętnościami; i jeśli nawet nie są one wolne od artystycznych usterek, to jednak porywają..."**

Tylko przy takim kryterium oceny możemy sprawiedliwie ocenić reprezentowany w 175 eksponatach dział malarstwa. Są to często rysunki czy obrazy formalnie złe, bo i perspektywa tu nie w porządku, i brak jest poczucia proporcji w obrazach. Ale wyrażają się w nich przecież dokumenty przełomowego okresu historii i tego cennego skarbu nie wolno nam wyrzucić za burtę nawet w imię ochrony czystości tradycji. Rysunek i malarstwo rozwija się przecież na wsi i ma swój określony zasięg oddziaływania. Są nim wnętrza świetlic wiejskich, (źa często straszące jeszcze obdrapanymi oleodrukami); na rysunki czekają gazetki i błyskawice; tablice ogłoszeń na plakat. Otwiera się zatem wdzięczne pole nie tylko dla samorodnie malujących, ale i dla konkretnej roboty plastyczno-agitacyjnej zawodowych plastyków i działaczy społecznych; oni właśnie muszą zająć się skierowaniem żywiołowego nurtu twórczości malarskiej na właściwy teren gromady, czy gminy.

Malarstwo sztalugowe nie wzbogaci sztuki ludowej o nowy dział, ale pogłębi kulturę plastyczną na wsi i stworzy warunki dla rozwoju budzących się talentów.

Bo spójrzmy: Timofiej Tychoniuk — dawny robotnik dworski, obecnie członek RZS we wsi Kojły, powiatu Hajnówka, nadesłał ciekawy pod względem tematycznym cykl rysunków kredką. Wiele z nich, jak **„Akcja partyzantów radzieckich pod wsią Rajsk"**, **„Masakra hitlerowska we wsi Rajsk"** posiada wartość dokumentarną. Tychoniuk pisze o sobie: **„Mój talent za czasów sanacyjnych został zmarnowany, tak jak i tysiące innych. Za władzy Polski Ludowej nie chcę, aby przepadł bez śladu; chcę aby żył i służył naszej ukochanej ojczyźnie"**. Tym szlachetnym, szczerym artystom ludowym łatwo nam będzie dziś pomóc.

*

Dotykamy tu o wiele bardziej poważnego zagadnienia: naszej pomocy i naszego wpływu na rozwój poczucia estetycznego wsi. Do dziś jeszcze błąkają się po niej nieestetyczne landszafty — smutne dziedzictwo lat międzywojennych. W ludowych obrazach, które zdołaliśmy na konkursie zgromadzić, widać dążenie do szczerości wypowiedzi, widać chęć osiągnięcia pełnego realizmu. Lecz i tu jest jeszcze dużo fałszywej stylizacji. Dlatego powinniśmy zastanowić się, co zrobiła nasza zawodowa plastyka. Istnieje przecież spójnia, której symbolem — pióro i pędzel. Jakże poważnym niedopatrzeniem w niej jest masowe produkowanie chociażby kart imieninowych, ozdobionych wątpliwej wartości widoczkami.

Warto również przejrzeć pod tym kątem wysyłane na wieś masowo produkowane makatki, estetyczną jakość masowo rozlepianych afiszów, okładki książek, które przecież mają zachęcić do czytania, do poznawania treści.

Sygnalizujemy to poważne zaniedbanie wobec urzekającego i rozwijającego się piękna sztuki naszego ludu.

*

Spójrzmy jeszcze na pozostałe działy: na wycinkarstwo, haft i tkactwo. Uderza tu bogactwo ornamentyki, tak charakterystyczne w sztuce ludowej nawet i pozaeuropejskiej; najróżnorodniejsze przedmioty użytkowe mają tu bogate artystyczne wykończenie, wyznaczane przez tradycje i gusty określonego środowiska stylistycznego.

Przed tymi działami sztuki również otwierają się zupełnie nowe perspektywy rozwoju, wyznaczające określoną rolę pomysłowości i zdolnościom tkaczek, czy wycinankarek. Spójrzmy najpierw na wycinanki: Stanisława Bakuła z gminy kadzidlańskiej, młoda Konopkówna z kurpiowskiej spółdzielni w Tatarach wplatają w tradycyjne kurpiowskie „leluje" nowe motywy gołąbka, czy — jak w wypadku Bakuły — obrazy z życia nowej, odrodzonej wsi kurpiowskiej. Widać jasno ogromną chęć do rozwinięcia, wzbogacenia dotychczasowej sztuki.

A jak jest w innych działach? Spróbujmy najpierw określić ich charakter. Pisze o nim w jednym z numerów „Polskiej Sztuki Ludowej" Bogucki: **„wytwory plastyki kształtującej choćby były najświetniej wykonane — zawierają na pewno szczuplejszy ładunek treści humanistycznej od malowideł... w obrazie bowiem można zamknąć sumę wiedzy o człowieku i świecie, dać wszechstronny wyraz swojej wewnętrznej postawie"**. — To jest prawda. Nie można jednak zakopiańskich wzorów na chusty, kurpiowskich wycinanek, czy kaszubskich haftów traktować wyłącznie jako-wykwit bujnej wyobraźni artysty, nie związanej z rozwojem życia. Sztuka ludowa nigdy nie odrywała się od podłoża, na którym wyrastała; sięgając do jej histori, przekonamy się zawsze, że rzemiosło artystyczne odbijało te same treści i ideologię życia danej epoki. — I dziś jest nie inaczej. Jeżeli tak szybko zmienia się wycinanka łowicka, szybciej niż kurpiowska czy sannicka, jeżeli w „kodrach" Stanisławy Bogusz, Marii Pietrzak czy Zofii Wiechno pojawia się motyw odstawy zboża, radosnej pracy świetlicowej — to dzieje się tak dlatego, że maszyna rolnicza zmieniła życie łowiczan rolników, podniosła poziom oświaty, stopień świadomości społecznej.

Budzi się wśród twórców ludowych potrzeba tworzenia czegoś nowego. Pomagając jej rozwojowi, trzeba nam uwypuklić podstawową konieczność przemiany tradycyjnej sztuki ludowej, zaspokającej dotychczas potrzeby wyłącznie własnego środowiska w artystyczne rzemiosło, służące ludziom pracy miast i wsi.

Jest to tym łatwiejsze, że motywy dekoracyjne są — mimo pozornej beztematyczności — głęboko związane z życiem i dzięki temu mają określony charakter realistyczny, co warunkuje ich funkcje w naszym społeczeństwie. ...**„Jakież inne treści** — pisze prof. Wojciechowski — **jeśli nie głęboko ludzkie przeżycie, zrozumienie otaczającego je świata — towarzyszą naszym wieśniakom ze wsi Zalipie, które swoje tradycyjne malowanki starają się, wspólnie z plastykami, zastosować do nowoczesnych technik druków na materiale. Najprostsze rośliny wiejskie, spotykane na każdym kroku w Polsce dają im podnietę do przeżycia artystycznego, pobudzają wyobraźnię, pozwalają komponować ciągle nowe projekty, które mówią nam o wsi, jej życiu, jej mieszkańcach"**.

Wspólnie z plastykami — to właśnie określa taką współpracę, kolektywów, współpracujących z Instytutem Wzornictwa Przemysłowego; w rezultacie powinna ona doprowadzić do stworzenia określonego stylu naszej epoki, ujawniającego się chociażby we wnętrzach mieszkalnych, dekoracjach świetlic. Mamy tu już pierwsze kroki za sobą. Postawiły je nasze tkaczki, zgłaszając w pierwszym okresie trwania konkursu chęć pracy nad nowymi pomysłami tkanin. W momencie przygotowywania nowego wzoru współdziałały ze sobą: twórcza inwencja tkaczek i troskliwa opieka Ministerstwa Kultury i Sztuki nie tylko w postaci stypendium pieniężnego, ale przede wszystkim fachowego poradnictwa. Wynikiem tego są nadesłane na konkurs: piękna purpurowa wełniana tkanina, wykonana przez Annę Kordecką z Myszyńca. Przystosowana do potrzeb świetlicy, wygląda o wiele estetyczniej, niż zwykłe czerwone płótno. Zbyt wysoka jest jeszcze jej cena — ale i to jest problem do rozwiązania właśnie na drodze zmechanizowania procesu produkcji.

Wielu twórców ludowych obawia się perspektyw przejścia od warsztatu rękodzielniczego — do maszyn; mają one rzekomo przekreślić wkład indywidualnej pomysłowości i artyzm twórców. Ale jest oczywiste, że wytwórczość ludowa nigdy nie będzie równa z produkcją przemysłową. Jej rola będzie polegała na opracowaniu słusznej metody twórczej, na wskazaniu właściwego źródła inspiracji. Poprzez wymianę doświadczeń i umiejętności między twórcami ludowymi i zawodowymi plastykami sztuka ludowa będzie mogła rozwijać się coraz pełniej, stając się sztuką ogólnonarodową.

Barbara Lipińska

IRENA MADEJSKA

ODRADZA SIĘ ZAGUBIONA SZTUKA

Kiedy do feudalnej wsi polskiej dotarł zwyczaj malowania na szkle, pozornie nie było warunków dla przyjęcia się tej nowej sztuki. W naszym kraju sztuką niejako „samorodną", zakorzenioną, posiadającą prehistoryczne tradycje — było drzeworytnictwo i garncarstwo. Nie działo się tak bez przyczyny. Ciemna i wyzyskiwana, pozbawiona przez pańskie rządy możności kształcenia swych zdolności, wieś polska uprawiała taki rodzaj sztuki, jaki był jej najbardziej dostępny ze względu na swój nieskomplikowany charakter — a przede wszystkim taniość.

Zrodzona we Włoszech, w bogatej Wenecji (posiadającej i artystyczne tradycje malarskie i — co ważniejsze — rozwinięty, wielki przemysł szklarski) sztuka „szklanych" malowideł była i skomplikowaną, i kosztowną sztuką. Wymagała bowiem precyzyjnej sprawności malarskiej i kosztownych materiałów twórczych (pędzle, farby, płytki szklane). Mimo to przyjęła się ona i rozpowszechniła w całym kraju. Ogniska jej ‚skupiające się początkowo wokół wielkich ośrodków hutniczych (Szklarska Poręba, Jelenia Góra, Kłodzk) w miarę popularyzowania się szkła rozprzestrzeniały się po całej Polsce. Sztuka malarska na szkle rozwinęła się szczególnie na Podhalu, nieco słabiej na Kaszubach i w Lubelszczyźnie, na Podlasiu i w Wielkopolsce, na Śląsku, w Kielecczyźnie (Iłża) w piotrkowskim.

×

Zachowane zabytki ludowego malarstwa na szkle wskazują, że działalność artystyczna ich twórców szła w dwu zasadniczych, odrębnych tematycznie i formalnie kierunkach: malowano „Janosikowe mity" i obrazy religijne.

Motyw Janosika (Janosik skaczący przez ognisko, Janosik z worem „zdobycznych" dukatów, Janosikowi chłopcy idący na zbójnikowanie) to „import" z Czech. Nie trudno jednak odnaleźć przyczyny jego recepcji w Polsce. Gdyby sercu polskiego chłopa nie była bliska postać zbójnika, jego motyw nie przyjąłby się na pewno. „Nie boję się pana ani jegomości, wezmę siekiereczkę — porąbię mu kości" — śpiewał ustami zbójnika chłopski artysta, odmalowując z naturalistyczną niemal drobiazgowością broń, kołpaki, ubiory zbójników — trofea zdobyte na „pandurach", pańskich pachołkach. Twarze zbójników indywidualizował, nadawał im wyraz, cechy portretowe. Malowany na szkle Janosik — to artystyczne odbicie tych nastrojów, buntów i nienawiści, które wyrażały się w wolnościowych ruchach Podhala, w postaniu Kostki Napierskiego.

Grupa druga — to piękne madonny, kolorowi święci. Wzorując się początkowo na znanych przykładach, osiągnięciach drzeworytnictwa — „szklane" malarstwo rychło od swego pierwowzoru odchodzi. Realistyczne, smutne wzory drewnianych rzeźb, symbolizujące ciężką dolę chłopa — nie są właściwym wzorem dla sztuki posługującej się radosną, jaskrawą paletą barw. Dlatego im dłużej rozwija się malarstwo na szkle, tym silniej na plan pierwszy wybijają się elementy dekoracyjne, tym częściej postacie świętych upodabniają się do geometrycznych wzorów sztuki stosowanej (zachowana „Matka Boska Łęgowska" z Iłży — to maleńka, niedostrzegalna niemal figurka, niknącą wśród bogactwa bajecznie kolorowych, kilkakrotnie większych od niej kwiatów).

×

Sporadyczne, indywidualne próby zajęcia się „zagubioną" sztuką w okresie 20-lecia międzywojennego nie osiągają celu: — kapitalistyczny ustrój nie daje żadnych możliwości rozwoju sztuce, którą sam przecież zniszczył.

Wkrótce po odzyskaniu niepodległości podjęte zostały próby zmierzające do odrodzenia zapomnianego malarstwa na szkle. Przeprowadzono je tam, gdzie sztuka ta rozkwitła najbujniej, gdzie rozwijała się w najbardziej bojowej formie — na Podhalu.

W Zakopanem otwarty został kurs malowania na szkle. Kierownikiem jest prof. J. Buczek z Krakowa — znawca i entuzjasta folkloru podhalańskiego. Pierwsza próba nie powiodła się — zgłaszają się tylko 3 osoby. Drugi „turnus" liczy „aż" 8 chętnych. Próba odrodzenia „zagubionej" sztuki wyraźnie nie „chwyta" chłopów. Nie jest to specjalnie dziwne. Na kurs werbowani są dorośli, dobrze pamiętający niepopłatność artystycznego „fachu" w okresie przedwojennym. Zorientować się w nowych warunkach i artystkę, kierującą rozwojem zapomnianej sztuki.

Nowicjuszce gorąco pomagają plastycy: zapoznają ją z zabytkowym malarstwem na szkle, udzielają technicznych wskazówek. Lata 1947—1949... Malarka tworzy dużo, ale obrazy jej nie wykraczają poza tradycyjne malarstwo Podhala.

Ideowy indyferentyzm jej sztuki ma głębsze powody, niż możliwe „obciążenia" przedwojenne, czy wpływ kopiowanych (często dla wprawy) zabytków.

Helena Roj-Kozłowska, eksperymentująca w dziedzinie nowej sztuki, w pierwszym okresie swej twórczości niewiele odbiega od grupy pozostałych kolegów z kursu. Jeszcze „nie rozgryzła" nowej rzeczywistości, nie zna jej nowych treści — i dlatego jej postawa ideowa jest niezdecydowana, wyczekująca...

Przeobrażenia, jakie dokonują się na wsi polskiej, ludzie idący ku lepszemu życiu przekonują ją powoli, że nie można dłużej lubować się abstrakcyjnością kolorowych plam.

Drugi etap w rozwoju jej twórczości cechować będą gorączkowe poszukiwania nowych treści społecznych: W obrazach **„Dojenie owiec na hali"**, **„Pranie bielizny"**, **„Muzykanci"** — wyczuwa się podświadome poszukiwanie zarówno nowych treści, jak i formy. Tematy obrazów czerpie artystka z życia, a tym rodzajowo-obyczajowym scenom należy nadać wiernie oddające je formy. Polepszają się więc powoli proporcje, kompozycja odzyskuje naturalność i swobodę. Artystka próbuje nawet wprowadzić realistyczny światłocień, a jaskrawy, dekoracyjny koloryt coraz częściej zastępuje kolorytem spokojnym odpowiadającym wiernie barwom malowanych przedmiotów.

Artystyczna działalność Heleny Roj-Kozłowskiej nie kończy się jednak na procesie tworzenia. Artystka pracuje w zakopiańskim muzeum etnograficznym w Łodzi. To „zawodowe" związanie się z postępowymi tradycjami ludowej ojczyzny aktywne uczestniczenie w budowaniu nowej kultury narodowej — decyduje o dalszym rozwoju twórczości. Sceny z życia Kostki Napierskiego pokazują nie tylko mityczne, napoły realne postacie zbójników, ale prawdziwych bohaterów rewolucyjnego Podhala, walczących o sprawiedliwość społeczną. Od tych obrazów krok już tylko do **„Elektryfikacji wsi"** — obrazu wielkich przeobrażeń podhalańskiej krainy.

Nic więc dziwnego, że kiedy w 1951 r. ponownie podjęta zostaje próba odrodzenia malarstwa na szkle, Helena Roj-Kozłowska jest kierownikiem artystycznym kursu zorganizowanego przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Helena Roj-Kozłowska swą kierowniczą funkcję ograniczała do udzielania technicznych wskazówek, zostawiając młodzieży zupełną swobodę w wyborze tematu. Co malują młodzi adepci sztuki? — Adepci mają po 12 lat i w otaczającej ich rzeczywistości wybierają to, co dla człowieka w takim wieku najmilsze jest i najważniejsze. Tak powstają **„Juhasi"**, **„Gra w piłkę"**, **„Kolarze"**.

Smutna, realistyczna sztuka drzeworytów i radosna, nierealistyczna sztuka „szklanych" obrazów — mówią jak najwnikliwsza kronika o doli chłopa w feudalnej i kapitalistycznej wsi. Czyż malarstwo równolatków ludowej ojczyzny nie określa najlepiej życia chłopskich dzieci?

×

Kursy po dwóch miesiącach zakończono. Ale tym razem nawet tak krótkotrwała nauka „nie poszła w las". Nowe warunki pozwoliły odżyć zagubionej sztuce na nowo. Na konkurs pod nazwą „Higiena wsi" młodzi góralczycy z Zakopanego wysłali swoje pierwsze prace, stanowiące zarazem propagandę piękna odrodzonej sztuki. Tematyka tych obrazów to — **„Zbiór owoców"**, **„Kopanie kartofli"**, **„Plan 6-letni"**, **„Traktory na polach"**.

Helena Roj-Kozłowska i młodzi jej uczniowie nadesłali swoje prace na I Ogólnopolski Konkurs Twórczości Ludowej. Reprezentują one i dawną tradycję rewolucyjnych zbójników, a w obrazach **„Junacy na torze"**, **„Zlewnia mleka"** pokazują nowe życie Podhańszczyzny. Totaż zdobyły I nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki.





Napad górali pod wodzą Kostki Napierskiego na dwór starosty — Wydanie Kostki Napierskiego wojewodzie Szaniawskiemu malowała na szkle Helena Roj-Kozłowska

Jej możliwościach, jakie daje ludowa ojczyzna, jeszcze nie potrafią.

A jednak kurs ma swoje osiągnięcia; wyłowiony bowiem zostaje wielki ludowy talent, prawdziwa „gwiazda" malarska, córka małorolnego gazdy zakopiańskiego, Helena Roj-Kozłowska.

Artystyczna atmosfera, z którą zżyła się od dzieciństwa (jako mała dziewczynka przesiaduje „na gapę" na przedstawieniach teatru zakopiańskiego; ojciec opowiada jej o bywającym kiedyś w domu Rojów Kazimierzu Tetmajerze; współpracuje z Karolem Szymanowskim przy komponowaniu libretta do „Harnasiów"; pisze i reżyseruje sztuki góralskie, z którymi objeżdża całą Polskę, gra nawet jako aktorka w nakręcanym przed wojną regionalnym filmie) — Wszystko to stwarza warunki, by Helena Roj Kozłowska wyrosła na wybitną

Irena Madejska

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Uniwersał Czarnieckiego

Nasi historycy przygotowują obecnie kilka opracowań źródłowych poświęconych walkom narodu polskiego z najazdem szwedzkim w latach 1655 — 1660. Ukażą się one w 300-ną rocznicę „potopu". Tymczasem historyków wyprzedzili literaci. Oni w znacznej mierze spopularyzowali wśród szerokich rzesz czytelniczych zarówno postać Czarnieckiego — przywódcy chłopskiej partyzantki i dali szereg wnikliwych, opartych na gruntownej znajomości epoki, obrazów chłopskiego patriotyzmu i bohaterstwa.

Mamy tu na myśli książkę Władysława Rymkiewicza pt. „Rycerze i ciury"**) oraz powieść Stanisława Czernika — „Uniwersał Czarnieckiego".

Czernik w opraciu o wydarzenia historyczne, ekonomię i obyczajowość epoki nakreślił życie wsi polskiej w okresie „potopu". Przedstawił proces kształtowania się i ujawniania świadomości narodowościowej i patriatyzmu ludu polskiego.

Do Pogrzebienicy — zapadłej wsi nad Sanem docierają wieści o chłopskiej wojnie ze Szwedami. Miejscowi chłopi żywo reagują na te wiadomości z szerokiego świata, przygotowują się do walki. Aż pewnego dnia zjawia się sam Stefan Czarniecki. Rzuca hasło powstania.

Słyszą chłopi słowa uniwersału, aby „wstawszy z orężami swymi nieprzyjaciela niszczyli i gdzie by się jeno pokazał, żadnemu nie folgowali, śmiercią złości ich nagradzając". Chłopi masowo odpowiedzieli na apel. Rzucili wieś i poszli bronić ojczyzny, wypędzać wroga, przywracać „pohańbioną Polskę".

Wydaje się czytelnikowi, że na dalszych kartach powieści znajdzie on obrazy chłopskich walk, że dowie się o losach oddziału przewoźnika Brakonia. Niestety. Wojna toczy się poza akcją powieści. Autor jedynie sygnalizuje jej odgłosy i pokazuje oddział szwedzki, który przeprowadza rekwizycję, właśnie we dworze pana Mniszka, chociaż Szwedzi przede wszystkim łupili chłopów, a oszczędzali dobra szlacheckie.

Jest to tym dziwniejsze, że Mniszek jest zagorzałym zwolennikiem szwedzkiego panowania. Akcja powieści rozgrywa się wiosną 1656 roku, a więc już po powrocie Jana Kazimierza do kraju i po zawiązaniu konfederacji w Tyszowicach. W Małopolsce nie tylko chłopi ale wiosną 1656 r. nawet większość szlachty — właśnie pod wpływem masowego, ludowego powstania musiała zerwać z zaborcą. W tej sytuacji wojska szwedzkie oszczędzały każdego swego zwolennika, mszcząc się przede wszystkim na chłopach.

Autor postawił sobie za zadanie pokazać codzienne życie wsi oraz krystalizowanie się chłopskiego patriotyzmu. To mu się udało całkowicie. Wiejskie zwyczaje, zabawy, dysputy w karczmie przeplatane współczesnymi piosenkami, właściwe epoce „powiedzonka" — pokazują czytelnikowi charakterystyczne cechy umysłowości chłopskiej i rzadkie chwile odpoczynku. Jest to drobny wycinek życia wiejskiego przytłoczonego ciężką harówką „na pańskim". Nie zapomniał też autor o codziennej pracy od świtu do nocy, przedstawił różnorodne formy feudalnego ucisku i wyzysku.

Umiejętnie stylowany język, z rzadka używane zwroty i wyrazy staropolskie podkreślają walory prostego poprawnego, a równocześnie obrazowego stylu.

Szkoda, że wydawnictwo nie dodało słowniczka wyrazów staropolskich lub chociażby przypisów objaśniających. Książka ta dotrze niewątpliwie do masowego czytelnika. Dla wielu ludzi takie wyrazy, jak delia, kaleta, lauda, resistere pozostaną słowami bez treści. Tak też będzie z nieprzełożonymi cytatami łacińskimi.

Oceniając powieść Czernika trzeba podkreślić, że pokazała ona wpływ, jaki wywarły na chłopów płomienne słowa uniwersałów Czarnieckiego. Chłopi obronili kraj. Okazali patriotyzm i bohaterstwo, ale w ich ciężkim losie nie zaszły żadne zmiany. Szlachta po wypędzeniu Szwedów umocniła swą władzę. Obrońcy kraju musieli wrócić pod bat ekonoma. To pesymistyczne zakończenie jest podkreśleniem prawdy historycznej, że walka o wyzwolenie społeczne musiała jeszcze toczyć się długo, aż znaleźli chłopi sprzymierzeńca i przywódcę w walczącej klasie robotniczej.

Władysław Bortnowski

---

*) Stanisław Czernik — Uniwersał Czarnieckiego — powieść historyczna. Wydawnictwo MON 1953 r. str. 84, cena 8 złotych.

**) omówioną w Nr 48 „Wsi".

STANISŁAW KRAKOWIAK

Budowa kina to początek, a teraz...

NIE spodziewała się nigdy Alicja Janiszewska będąc jeszcze uczennicą Szkoły Handlowej w Rokicinach, że za parę lat będzie sprawować bardzo ważną funkcję: funkcję kierowniczki kina stałego. Wtedy bowiem o kinie krążyły w Będkowie jeno słuchy. Od czasu do czasu zawitało tu kino objazdowe — i tyle tylko było rozrywki.

Zazdrościli ludzie miasteczek i wsi ludziom miastowym światła i teatru, kina i innych urządzeń kulturalnych, tak urozmaicających życie starszych i młodzieży.

W maju czy czerwcu 1951 r. poszła po Będkowie i całej gminie niezwykła wieść: powstanie tam stałe kino! Można będzie zobaczyć w nim w ciągu roku 50 różnych filmów i tyleż kronik tygodniowych.

Budowa kina w osadzie Będków była zarówno dla będkowian, jak i mieszkańców gminy rewolucją. Bo po wojnie w tej gminie mało się zmieniło. Gdzie indziej radiofonizowano wsie, zapaliło się światło elektryczne, powstawały Ośrodki Zdrowia. W Będkowie było ciemno, głucho, po staremu. Co prawda, to ucząca się w szkołach młodzież i robotnicy dojeżdżający do fabryk w Piotrkowie i Łodzi napierali na prezydium i radnych — niewiele to jednak pomagało. Ówczesny zarząd gminny i gminna rada narodowa z lat 1948—1949 nie godziły się na żadne zmiany. Nie chcieli „ojcowie" Będkowa światła elektrycznego, nie chcieli radia, telefonów. Chcieli mieć „święty spokój".

Toteż łatwo było pragnąć otwarcia kina, trudniej było z jego budową.

Traf chciał — a w Będkowie rzadko to się zdarza — że u steru władzy gminnej, jako sekretarz prezydium, zasiadał Antoni Feja, człowiek z otwartą głową, społecznik, rozumiejący wagę kina. Po długich namowach skłonił on do zabiegów o podjęcie budowy kina przewodniczącego Józefa Maciaszczyka. Pomogli w tym Feji, kierownik szkoły Emil Gernard i Leon Zając. Wkrótce potem założono komitet budowy kina w Będkowie.

Budowa kina poruszyła całe społeczeństwo. Młodzież, działacze oświatowo - kulturalni, nauczycielstwo, wszyscy rozumni ludzie poparli inicjatywę sekretarza prezydium. Zaczęto zbierać składki, urządzać zabawy i sposobem gospodarczym gromadzić fundusze na urządzenie lokalu.

Pierwszy krok prezydium spotkał się ze zdecydowanym oporem zarządu gminnej spółdzielni Samopomoc Chłopska. Prezes Błażejewski w „trosce" o gminną spółdzielnię nie chciał ustąpić lokalu, w którym przechowywano wapno na „jakieś tam kino". Spór się przeciągał. Część radnych stanęła nawet za spółdzielnią, za Błażejewskim i za wapnem, a część (była ich większość) za kinem. Nieustępliwe stanowisko prezydium sprawiło jednak, że GS wywiozła wapno z sali; można więc było teraz przerobić ją na salę kinową.

Rozpoczęła się praca trwająca parę miesięcy. Pomagali w przebudowie sali pracownicy prezydium, poczty, nauczycielstwo, młodzież z SP i ZMP. Można było widzieć ludzi, którzy doceniając sprawę, brali łopatę w garść i pracowali; można było widzieć i takich, którzy zaglądali przez okno i straszyli pracujących „sabotażem" i proroctwami, że „nic z tego nie będzie".

Mimo takich trudności w grudniu 1951 r. kino stałe w Będkowie rozpoczęło pracę. Mroki Będkowa przedarła smuga elektrycznego światła z lampy projekcyjnej. Z tą padającą na ekran smugą potoczyły się obrazy kroniki i filmu.

Mija druga rocznica założenia kina. Mało kto o tym myśli w Będkowie, gdyż wszystkim bywalcom wydaje się, że istnieje ono od dawna i bez kina nie byłoby życia w osadzie.

I słusznie. Kino znalazło swoje miejsce w środowisku, tak jak znalazła miejsce apteka, spółdzielnia, szkoła. Zaspakaja ono wzrastające co miesiąc, co rok potrzeby kulturalne miejscowego społeczeństwa. Dwa seanse (w sobotę i niedzielę) jakie daje, cieszą się dużą frekwencją, zarówno pracujących w GRN, GS, gminnej kasie spółdzielczej i poczcie, jak miejscowych i okolicznych chłopów.

Młode jest kino w Będkowie i młoda jest jego kierowniczka Alicja Janiszewska. Młodym jest personel techniczny w osobach agregadzisty Mieczysława Grzybowskiego i mechanika Tadeusza Rytycha. Potrzebna im jest opieka ze strony prezydium i władz oświaty i kultury.

Kino w Będkowie może i powinno wyjechać z filmem co tydzień do Woli Drzazgowej, Rudnika, Prażek, Zamościa, Rzeczkowic. Tam czekają na nie chłopi, dzieci chłopskie, młodzież.

Alicja Janiszewska — kierowniczka — mówi:

— Większość naszych mieszkańców ma w kinie piękną rozrywkę. Młodzież jak to było przedtem, przestała wałęsać się po ulicach i przesiadywać w parku lub knajpie. Po filmie jest zawsze o czym mówić. Zmniejsza się dzięki temu ilość plotek. Ludzie znacznie spoważnieli.

— Przyjemnie jest w naszym kinie — mówi Walenty Muszyński. — Sala odnowiona, 99 miejsc siedzących, piękne filmy. Słowem: czuję się, jak w mieście. Pracuję w Piotrkowie, ale mieszkam w Będkowie. Gdyby nasza osada uzyskała światło elektryczne, nikt by z nas nie myślał o ucieczce do miasta.

Myśl o doprowadzeniu linii elektrycznej zapala umysły młodzieży i starszych. Wytykają oni śpiączkę miejscowemu prezydium i radzie, która nie robi nic, by sprawę elektryfikacji Będkowa i okolic postawić w powiecie i w województwie jako niecierpiącą zwłoki.

Prezydium GRN powinno wykorzystać zapał i chęci będkowian i pokierować nimi. Chodzi przecież o to, aby pełniej realizować w Będkowie program Frontu Narodowego i Tezy na II Zjazd Partii.

Stanisław Krakowiak
Rokiciny

LESZEK BAKUŁA

O KOLEKTYW CZYTAJĄCYCH

„Hasło wzywające do konkursu, rzucone przez ZSCh, to jak gdyby majowy deszcz, po którym jak grzyby wyrastają z szarej masy chłopstwa przodownicy czytelnictwa na terenie naszej gromady" — pisze Piotr Kindziuk z Dubin, pow. Bielsk Podlaski. Te zdanie jest uogólnieniem doświadczeń, jakie autor zebrał w ciągu swej kilkuletniej pracy jako gromadzki organizator czytelnictwa.

W roku 1950 zorganizowane czytelnictwo na wsi stawiało pierwsze kroki. Brak było agitatorów książki. Z tego powodu nie można było otoczyć rzetelną opieką nowozwerbowanych czytelników. Ob. Kindziuk brał wtedy książkę pod pachę i wtykał ją wprost ludziom do ręki przy każdej okazji. Praca miała charakter indywidualny i ograniczała się do kilku osób, które nie czuły między sobą żadnej więzi.

W roku 1950, czyli w drugim etapie, stanęło przed organizatorami przede wszystkim zadanie zwiększenia ilości czytelników. Przy pomocy aktywniejszych udało się spośród nich zmobilizować 23 osoby. Formy pracy niewiele się jednak wzbogaciły. Dopiero III etap konkursu w 1952 roku stanowił przełom: 60 chłopów pracujących i ich rodzin stanęło do czytania — podaje Kindziuk. Głównym zagadnieniem stało się teraz poszerzenie kręgu problemowego i tematycznego. Niektórzy czytelnicy szybko do tego dorastali. Ci, którzy w I etapie zaczynali od popularnych broszur, w etapie III dyskutowali już nad pozycjami z literatury pięknej. „Faraon" Prusa, „Marta" — Orzeszkowej, „Ojczyzna" — Wasilewskiej i „Pamiątka z Celulozy" — Newerlego są to najwięcej lubiane w Dubinie książki. Ich tytuły świadczą o szerokim kręgu zainteresowań czytelników. Trzeba by rozszerzyć jeszcze ten krąg przez podawanie książek radzieckich, jak: „Zorany ugór" — Szołochowa i naszych współczesnych (choćby Brandysa „Człowiek nie umiera").

Konstanty Wereniuk, młody zetempowiec, po przeczytaniu „Pamiątki z Celulozy" zrozumiał, że gdyby nie władza ludowa, stałby pod bramą fabrykanta, jako bezrobotny — jak Szczęsny. Nie przypadkowe jest to osobiste przeżywanie życia bohaterów utworu: porównywanie go z życiem własnym i życiem gromady — oraz wyciąganie z tego wniosków. Jest to cecha nowego czytelnika: myśli on o książce i poznaje przy jej pomocy piękno życia. Tak pisarze, jak i działacze kulturalni muszą mieć to na uwadze.

Wobec szybkiego rozwoju czytelnictwa w Dubinie nie wystarczał już jeden agitator. Kindziukowi pomagali najwięcej młoda nauczycielka Barbara Struńska i kierownik szkoły ob. Samojlik. Coraz częściej spotykamy się ze zjawiskiem, że sami czytelnicy stają się agitatorami książki. M. in. należy do nich Jan Różkiewicz.

Tworzył się więc kolektyw agitatorów. Zorganizowani czytelnicy zespalali się w drugi kolektyw. Oba łączyła wspólna praca.

Praca kolektywu rozwijała się jako wynik dobrej i szerokiej pracy indywidualnej. „Książka stała się przyjacielem zarówno starych, jak młodych, mężczyzn i kobiet, spółdzielców i chłopów indywidualnych" — stwierdza Kindziuk. Stała się ona niewątpliwie jednym z czynników zespalających gromadę w wykonywaniu zadań gospodarczych, politycznych i kulturalnych.

Na tę rolę czytelnictwa zorganizowanego w pracy bieżącej trzeba zwrócić szczególną uwagę, dobierając lekturę i podsuwając w odpowiednim momencie celowo dobrane książki.

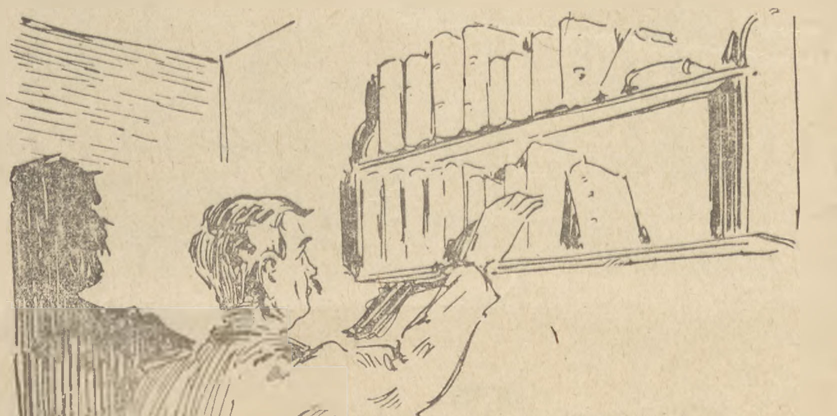
Ob. Kindziuk na zlocie przodowników czytelnictwa zobowiązał się zwerbować 50 osób. Po wykonaniu zobowiązania gromada, zorganizowana w 15 zespołach o łącznej liczbie 235 osób, wzięła udział w IV etapie konkursu. Tam, gdzie nie dało się kogoś włączyć do zespołu, wprowadzono indywidualne zgłoszenia. Kindziukowi nie wystarczała już gromada jako teren działania; założył on 1 zespół w gromadzie Postołowo, 1 zespół w Lipinach i 2 zespoły w Nowosadach. Razem zwerbowano 280 uczestników, w tym 35 proc. kobiet. Obecnie każdy zespół ma swego kierownika i przodowników. Całe rodziny stały się przodującymi kolektywami czytelnictwa. Przykładem jest rodzina Wereniuków: Konstanty, Aleksy, Bazyli i Teodor; ostatni z nich, choć ma już 73 lata, wciąż dużo i chętnie czyta. Z kobiet wyróżnia się Zofia Łapińska czytająca razem z mężem Leonem. Z młodzieży Sergiusz Jurczuk (kierownik punktu bibliotecznego) i Michał Kejło. Gromadą zainteresował się bliżej ob. W. Jelski — przewodniczący wojewódzkiej komisji Konkursu Czytelniczego; często dyskutując indywidualnie z czytelnikami, dał dobry przykład pracy terenowej.

Po IX Plenum KC postanowiono więcej czytać książek fachowych, rolniczych, o uprawach, o hodowli, o pszczelarstwie itp. Pozwoli to na ściślejsze powiązanie czytelnictwa z zadaniami produkcyjnymi i rozbudzenie w młodzieży zainteresowań dla agronomii, agrotechniki, hodowli.

Wobec tak szerokiego wachlarza problemowego istnieją możliwości powstania wśród czytelników **„grup zainteresowań,** — ale tu trzeba by pomyśleć o stworzeniu różnorodnych działów w bibliotece. Byłyby te grupy punktem wyjścia dla systematycznego samokształcenia w obranej dziedzinie w kołach wszechnicy radiowej, czy w kole miczurinowskim. W ten sposób jedna forma pracy kulturalnej stałaby się bodźcem do zaszczepienia innej. Wydaje mi się, że na to trzeba zwrócić uwagę naszego aktywu.

W terenie rzadko kiedy istnieją w jednej wiosce i zespoły czytelnicze, i koła wszechnicy radiowej, i świetlica. W dużej ilości gromad panuje przeważnie jedna dobrze rozwinięta forma pracy. Dobry aktyw szerzej powinien starać się o to, żeby sprzyjała ona ukształtowaniu się innych form.

Leszek Bakuła



rys. M. Walentynowicz

EDWARD POCHROŃ

Ze zjazdu miczurinowców w Krakowie

NA TRYBUNIE

ADAM BARDZIŃSKI — to staruszek. Kiedy wszedł na trybunę — dla fotoreporterów cenny „okaz" — nie zażenowały go ani błyski magnezji, ani ostre światło reflektora.

— Ja tam specjalnie wielkim miczurinowcem nie jestem. Ale mam osiągnięcia w warzywach, to sobie myślę: a dlaczegożbym nie miał podzielić się moimi doświadczeniami? Zupełnie przypadkowo udało mi się wpaść na ładne odkrycie. Na wiosnę w rzędach między cebulą powrzucałem ziarna marchwi. Cebula nie wytrzymała suszy, a marchew wyrosła nad podziw.

— Przywiozłem, koledzy, rozmaite. Najmniejsza, o ta waży 87 dkg. — Bardziński położył ją na stole przed prezydium. — O, ta już większa waży 115, a największa — 170.

Nie żałuję, że wyschła mi cebula, bo marchew zapłaciła stratę z dużą nadwyżką. Z 25 arów otrzymałem jej 20 q. Stwierdziła to komisja.

— Gdyby zasiać marchew w rzędach 30 × 50 cm, tzn. 6 sztuk na 1 m kw., to przy wadze najmniejszej 87 dkg na 1 marchew, plon wynosiłby 525 kg z 1 ara, a więc 525 q z 1 ha.

Gleba jest przygotowana do najwyższych urodzajów, koledzy, tylko nasz umysł nie jest przygotowany. Możemy rozwijać produkcję rolną do nieskończoności.

„JA SZUKAM W GŁĄB"

Władysław Turek siedzi na pięciohektarowym gospodarstwie. Ziemia w tej części powiatu brzeskiego jest kiepska — buraki nie chcą się rodzić. „Nie chcą, ale muszą". I rzeczywiście nikt w okolicy nie ma buraków, a Turek ma. Mało też sąsiedzi sieją koniczyny, Turek sieje dużo. Sąsiedzi zasieją zboże w jesieni i już więcej do niego nie zaglądają. A Turek przeciwnie: wiosną bronuje, wzmacnia nawozami sztucznymi — i nigdy nie narzeka na nieurodzaj. Albo głęboka orka z przedpłużkiem. Niektórzy podśmiewają się z niego, że przemęcza konie. W Tworkowej panuje jeszcze przekonanie, że im później kosi się siano, tym więcej otrzymuje się masy. Turek powiada na to:

— Bzdura — słomy w stodole nie chcę trzymać. Dlatego kosi siano przed zakwitnieniem.

Turek na Zjeździe przedstawił jakie stosuje zabiegi agrotechniczne, aby uzyskać przeciętną wydajność z ha 18 q, aby mieć poddostatkiem paszy dla 4 krów. Zakończył tak:

— Ziemia nie jest gumą i nie da się naciągać; więc ja szukam w głąb, bo wszerz się nie da. A trzeba wiedzieć, że chłop ma największe zaufanie do chłopa, który mówi do niego codziennym językiem. Jest o tym przecie w referacie tow. Bieruta i w Tezach.

Na piersi Turka wisi srebrny krzyż, wstążka już wypłowiała.

— Za często go przypinam, bo w powiecie jest jeszcze mało przodujących chłopów, więc wysyłają mnie wszędzie. A właściwie jest ich dużo, tylko że nasze władze powiatowe i gminne, również służba rolna, nie wykrywają takich, a jak odkryją, to nie wyciągają na wierzch.

MUZYKALNA KROWA

Karol Solich ze wsi Pogrzebień (powiat rybnicki) zarumieniony z zażenowania, zaczął opowiadać śląskim dialektem o „karmie" i jak ją „zadawał", żeby krowy dawały jak najwięcej mleka i bez uszczerbku w mleczności obrobiły mu pole. Zastosował u siebie zieloną „taśmę" — i dlatego na 3 ha lichej ziemi może wyhodować 3 krowy, 1 jałówkę i 4 tuczniki.

— Jo dbom o krowy, a i żona z córkom tak samo. One jak doją, to nawet śpiewajom. I krowy dają więcej mleka. Jedna nawet tak sie nauczyła, że jak jej nie zaśpiewać przy udoju, to nie przypuści mleka.

Solich do 1945 roku był górnikiem i do gospodarki sie nie przykładał. Ale gdy już wyszedł z kopalni, kilof zamienił na pług. Zaczął czytać gazety; kupił sobie zeszyt, wklejał w nim wycinki z „Rolnika Polskiego" które nauczyły go „mądrze gospodarować". Ten zeszyt przechowuje do dzisiejszego dnia, choć korzysta już z podręczników naukowych. Z dawnego zawodu pozostała w nim proletariacka nieustępliwość. W gminie i w gromadzie potrafi walczyć o słuszną sprawę; toteż sąsiedzi mają do niego zaufanie. Po Zjeździe będzie mu łatwiej spełniać zadanie miczurinowca-agitatora.

BOJOWNIK O OWOCOWE ALEJE

Jan Weselak z Urzejowic (pow. Przeworsk) — wysoki, blady, łysawy, pod pięćdziesiątkę — mówił i przekonywał wszystkich o słuszności sprawy, o którą walczy z zapałem 20-letniego młodzieńca. Po wojnie wziął się za warzywnictwo. Początkowo był osamotniony. Martwiło go, że u sąsiadów w ogrodach rosną pokrzywy. Więc postanowił walczyć, aby w Urzejowicach w każdym domu było poddostatkiem jarzyn dla kuchni i na sprzedaż. Każdemu kupującemu u niego cebulę czy pomidory Weselak dawał nasiona i mówił: — W przyszłym roku nie przychodź do mnie po jarzyny, bo ci nie sprzedam. Zasiej sobie sam. — Dziś cała gromada zaopatruje okolicę w warzywa.

Weselak na Zjeździe mówił o drugim swoim marzeniu: o wykorzystywaniu nieużytków na sady.

— Ileż to się marnuje ziemi na przydrożnych szkarpach! A u nas dzieci w zimie nie widzą jabłek, a na rynku trzeba drogo płacić. Czyż nie stać nas na to, żeby wyprodukować owoców w bród. Ile mi bólu sprawia, gdy przechodzę po naszych drogach i widzę, jak obok rosną krzaki i wierzby, zamiast pięknych czereśni i jabłoni! Poruszałem tę sprawę w gminie, w powiecie, ale mnie wyśmiali. Ja jednak nie ustanę i dopnę, że nie będzie u nas drogi nie obsadzonej drzewami owocowymi.

Edward Pochroń

Dr WANDA STĘŚLICKA-MYDLARSKA

Jak powstał człowiek

KAŻDA istota żywa ma niezliczony poczet przodków; jego początek sięga chwili powstania życia na Ziemi. Dlatego też, gdy ktoś zapyta, kim byli przodkowie człowieka — musimy się cofnąć myślą wstecz do czasów sprzed jednego miliarda lat. Wtedy bowiem skorupa ziemska była już w takim stadium utrwalenia, że w gorących ówczesnych morzach mógł się rozpocząć proces wytwarzania rozmaitych związków chemicznych, które później weszły w skład ciał białkowych.

Życie powstało na Ziemi drogą rozwoju materii na podstawie praw przyrody, które rządzą ruchem materii. Aby mogły powstać organizmy żywe, musiało wpierw powstać białko, które jest zasadniczym budulcem istot żywych — roślin, zwierząt i człowieka. Białko jest bardzo złożonym związkiem chemicznym, zbudowanym zasadniczo z węgla, wodoru, tlenu, azotu i siarki. Życie jest pewną formą ruchu ciał białkowych; ale zarazem jest to nowa jakość, która zaistniała na kuli ziemskiej wtedy, kiedy powstały ciała białkowe.

Powstanie człowieka na Ziemi poprzedzone było długotrwałym rozwojem świata zwierzęcego, który przygotował pojawienie się człowieka. Nagromadzono tak dużo dowodów potwierdzających te fakty, że dziś nauka o ewolucji — wraz z nauką o zwierzęcym pochodzeniu człowieka (antropogeneza) — nie może budzić żadnych wątpliwości.

Gdy śledzimy dalsze dzieje naszych praprzodków, dochodzimy do czasów, kiedy pojawiły się na Ziemi pierwsze ssaki. Działo się to — jak wiadomo — stokilkadziesiąt milionów lat temu. Najprymitywniejsze zwierzęta ssące były drobne, niepozorne i pędziły życie leśne.

Tymczasem mijały setki tysięcy i miliony lat. Nadszedł z kolei okres historii Ziemi, nazwany przez geologów trzeciorzędem. Na początku tego okresu, czyli mniej więcej 70 milionów lat temu, powstały w ciągu rozwoju świata zwierzęcego już wyżej rozwinięte ssaki, a między nimi grupa zwierząt obejmowana wspólną nazwą rzędu Naczelnych. Do Naczelnych należą zwierzęta odznaczające się przede wszystkim chwytnością rąk, a przeważnie też stóp oraz stosunkowo dużym rozwojem mózgu. Są to dzisiejsze małpiatki, małpy i istoty ludzkie.

Na początku trzeciorzędu istniały tylko małpiatki, które są wspólnymi przodkami wszystkich późniejszych Naczelnych. W zależności od warunków, w których te zwierzęta żyły, jedne z nich przekształciły się w dalszej ewolucji w formy wyższych Naczelnych, a więc w małpy i ludzi, inne zaś, które przebywały stale w środowisku mało się zmieniającym, pozostały małpiatkami i zmieniły się stosunkowo niewiele.

W połowie trzeciorzędu, w epoce zwanej miocenem, a więc ponad 20 milionów lat temu, żyły w Azji, Europie i Afryce wysoko rozwinięte Naczelne, przypominające swym wyglądem dziś znane małpy człekokształtne. Noszą one nazwę driopiteków, co oznacza dosłownie małpy leśne. Były to zwierzęta duże; ich wzrost wynosił przeciętnie około półtora metra. Tak duże zwierzęta przy wspinaniu się na drzewa musiały bezwarunkowo opierać stopy na niższych gałęziach, a rękami czepiać się gałęzi wyższych, aby w ten sposób rozłożyć odpowiednio ciężar ciała. Wobec tego możemy wnioskować, że driopiteki w swym życiu nadrzewnym przyzwyczajały się w ciągu długich pokoleń do prostej postawy ciała przypominającej nieco postawę ludzką. W związku z tym wytworzyło się u nich wyraźne zróżnicowanie czynnościowe między ręką a stopą.

W ciągu okresu trzeciorzędowego zaszły olbrzymie zmiany w ukształtowaniu skorupy ziemskiej, które radykalnie zmieniły warunki bytowania dla żyjących wówczas roślin i zwierząt. Wskutek powstania nowych gór, jak np. Alpy, Himalaje i inne, nastąpiło oziębienie klimatu. Wskutek tego na dużych obszarach azjatyckich i europejskich zaczęły zanikać lasy i wytwarzały się stepy. Jedynie w okolicach równikowych pozostały puszcze w dawnym swym zakresie i tam środowisko nie ulegało większym zmianom.

Jakie były skutki tych przemian środowiskowych dla żyjących wówczas driopiteków?

Otóż odłam tych zwierząt, który znalazł się w strefie równikowej, rozwijał się w dalszym ciągu w kierunku przystosowania się do życia nadrzewnego i z tego odłamu powstały drogą dalszego rozwoju dzisiejsze małpy człekokształtne, a więc goryl, szympans i orangutan. Natomiast drugi odłam driopiteków, który znalazł się w strefie przechodzącej z lasu w step, musiał się przystosować do zupełnie odmiennego trybu życia. Ponieważ zwierzęta te w życiu nadrzewnym były już w pewnej mierze przystosowane do prostej postawy ciała, więc też przy przejściu do życia naziemnego nie opadły na cztery kończyny, lecz zaczęły się coraz lepiej przystosowywać do dwunożnego chodu.

Dzięki temu, że naziemny driopitek stanął na dwóch nogach, mógł odtąd swe ręce wykorzystywać wyłącznie do manipulowania w związku z pobieraniem pokarmu, obroną życia, poznawaniem otoczenia itd. W ten sposób powstały również przesłanki dla rozpoczęcia pracy rąk. Wyprostowanie grzbietu rozszerzyło ponadto ogromnie pole widzenia i zmieniło zarazem położenie jamy ustnej w stosunku do krtani. Wskutek tego ułatwione było wydawanie wielu dźwięków krtanią, czyli zaistniały warunki dla powstania mowy.

Oczywiście ani praca ani mowa nie są zjawiskami biologicznymi lecz społecznymi — nie wolno nam jednak pomijać tych biologicznych czynników, które przygotowały i umożliwiły pracę, mowę, myślenie i w związku z tym coraz większy rozwój mózgu.



Daleki przodek człowieka

Dwunożne małpy stepowe żyły gromadnie. W przeciwnym bowiem razie nie mogłyby się zachować przy życiu wobec wielu grożących im niebezpieczeństw w warunkach stepowych. Swobodne ich ręce sięgały coraz częściej po kamień, odłam skalny, gałąź, czy uprzednio ogryzioną kość, aby tych przedmiotów użyć jako narzędzia czy broni. Jedne przez podpatrywanie drugich uczyły się tych czynności, które dostarczały mózgowi wielu dotąd nieznanych nowych wrażeń i podniet. Ćwiczony w ten sposób mózg rozwijał się coraz więcej, a równolegle doskonaliły się ręce tworząc coraz sprawniejsze narządy chwytne.

Stosowanie surowych kamieni i kijów nie było oczywiście jeszcze pracą we właściwym tego słowa znaczeniu. Był to niejako etap przygotowawczy występujący przed rozpoczęciem właściwej ludzkiej pracy. Skok jakościowy, powodujący powstanie człowieka, dokonany został wraz z zapoczątkowaniem produkcji narzędzi pracy.

Celowa obróbka narzędzi powstała pod naciskiem konieczności. Nie wystarczały bowiem surowe kamienie czy kije. Potrzebne były kamienie ostre, mające pewien określony kształt. Wymagało to jednak dużej pracy mózgu, aby sobie wyobrazić potrzebne narzędzie i potem za pomocą sprawnych rąk obtłukiwać surowy kamień w taki sposób, by powstał właśnie ten potrzebny kształt. W chwili, gdy niewprawna jeszcze ręka wykonała pierwsze celowo obrobione narzędzia, nie mamy już do czynienia ze zwierzęciem lecz z człowiekiem. Tu dokonał się właśnie ów skok jakościowy, o którym uprzednio była mowa

Celowa obróbka narzędzi wykonywanych z kamienia, kości, rogu czy drewna powstała w rodzącym się społeczeństwie ludzkim jako zjawisko społeczne. W procesie pracy zespołowej, w której jeden członek kolektywu uczył się od drugiego dzieląc się z nim nawzajem swymi doświadczeniami — powstała nieodparta konieczność porozumiewania się ze sobą nie za pomocą małpich krzyków, ale za pomocą słów mających określoną treść.

Pod wpływem rozwijającego się języka słów zaczęła się coraz więcej rozwijać psychika człowieka i rozrastał się wciąż mózg — narząd myślenia. Język słów, czyli mowa ludzka, jest bezpośrednio związany z myśleniem. Język rejestruje i zatwierdza słowami i grupami słów tworzących całe zdania — wyniki pracy myśli ludzkiej związanej z pracą mózgu. W ten sposób umożliwione było porozumiewanie się człowieka z człowiekiem w rozwijającym się społeczeństwie ludzkim.

Nauka dziś udowodniła, że pod wpływem pracy kolektywnej ukształtowała się mowa, a wraz z nią coraz bardziej rozwijało się myślenie. Wszystkie te czynniki wiążą się z życiem społecznym ludzi. Wobec tego nauka twierdzi, że człowiek nie mógł powstać jako istota jednostkowa — człowiek powstał jako jednostka zbiorowa — jako gatunek żyjący społecznie. Inaczej w sposób naukowy nie można ujmować tego zagadnienia.

Człowiek jest nową jakością w przyrodzie. Jego rozwój odbywa się w warunkach życia społecznego, gdzie działają na niego praca i mowa i gdzie wpływ wywiera całe zdobyte przez pokolenia doświadczenie społeczne. W społeczeństwie ludzkim powstały przeto zupełnie nowe warunki współżycia społecznego, które są dowodem dokonującego się stale postępu ludzkości.

Dr. Wanda Stęślicka-Mydlarska

PIERWSZY OGÓLNOPOLSKI KONKURS TWÓRCZOŚCI LUDOWEJ

(dalsza lista przyznanych nagród)

W dziale III — Malowidła na szkle

Nagroda I Ministerstwa Kultury i Sztuki w wysokości zł 800.— za całokształt twórczości:

Helena Roj-Kozłowska — Zakopane.

Nagroda I ZSCh w wysokości zł 800.— za całokształt prac nadesłanych na konkurs:

Józef Hulka — wieś Łękawica, pow. Żywiec.

W dziale IV — Wycinanki

Nagroda I TPPR w wysokości zł 400 — za wycinanki o nowej tematyce z wyróżnieniem kompozycji Pałacu Kultury i Nauki:

Czesława Konopka — wieś Tatary, pow. Ostrołęka.

Wyróżnienia Ministerstwa Kultury i Sztuki w wysokości po zł 200.—

Bakuła Stanisława — w. Strzałki, pow. Kadzidło.

Prusaczyk Stanisława — w. Tataryry, pow. Ostrołęka.

Fąk Helena — w. Czarnotrzew, pow. Ostrołęka.

Strycharska Józefa — Łowicz.

Królikowska Maria — w. Zakościele, pow. Rawa Mazowiecka.

Wyróżnienia ZSCh w wysokości po zł 200.—

Wawrykowicz Janina — Łowicz.

Wawrykowicz Teresa — Łowicz.

Bogusz Stanisława — Łowicz.

Pietrzak Maria — w. Błędów, gm. Jeziorko.

Kordecka Anna — Myszyniec.

Kołaczyńska Maria — w. Retki, pow. Ławicz.

Konopka Maria — w. Tatary, pow. Ostrołęka.

Siwek Józefa — w. Zakościele, pow. Inowłódz.

Góral Maria — w. Zakościele, pow. Inowłódz.

Dobrzyński Ignacy — Stanisławów, pow. Lubartów.

W dziale V — Tkaniny

Nagroda I Ministerstwa Kultury i Sztuki w wysokości zł 500.— za tkaninę dekoracyjną przystosowaną do potrzeb świetlicowych:

Anna Kordecka — Myszyniec.

Nagroda II Ministerstwa Kultury i Sztuki w wysokości zł 425.— za tkaninę dekoracyjną:

Katarzyna Stelmach — wieś Rudno, pow. Kołbiel.

Nagroda II Ministerstwa Kultury i Sztuki w wysokości zł 425.— za tkaninę dekoracyjną „Droga przez wieś":

Dominika Bujnowska — Węgrów.

Nagroda II Ministerstwa Kultury i Sztuki w wysokości zł 425.— za dywan podwójny „Szkoła":

Felicja Jaroszewicz — wieś Janów, pow. Sokółka.

Nagroda III Ministerstwa Kultury i Sztuki w wysokości zł 250.— za tkaninę w „Kunoski":

Sterczak Teresa — wieś Rzeczyca, pow. Rawa Mazowiecka.

Nagroda III ZSCh w wysokości zł 250.— za tkaninę dekoracyjną:

Florentyna Rzeczkowska — wieś Rzeczyca n. Pilicą, pow. Rada Mazowiecka.

Nagroda III ZSCh w wysokości zł 250.— za tkaninę dekoracyjną:

Antonina Legutowska — wieś Rzeczyca n. Pilicą, pow. Rawa Mazowiecka.

Nagroda III ZSCh w wysokości zł 250.— za dywan podwójny „Pastwisko":

Władysława Bałakir — wieś Nowe-Kolno k. Sokółki.

Nagroda III ZSCh w wysokości zł 250.— za dekoracyjną tkaninę wełnianą:

Zespół tkaczek z Pilicy nad Rzeczycą, pow. Rawa Mazowiecka.

W dziale VI — Koronki wyróżnienia ZSCh po zł 150.—

Przybycień Józefa — wieś Bobowa, pow. Gorlice.

Mabińska Emilia — wieś Wilczyska, pow. Ostrołęka.

Góral Maria — wieś Zakościele, pow. Rawa Mazowiecka.

W dziale VII — Ceramika

Nagroda I Ministerstwa Kultury i Sztuki w wys. zł 200.— za dzban i 4 miseczki:

Ruta Andrzej — wieś Medynia Głogowska, pow. Łańcut.

W dziale VIII — Intarsja w drzewie

Nagroda I Ministerstwa Kultury i Sztuki w wysokości zł 200.—:

Filipowicz Marcin — Olsztynek.

Nagroda II Ministerstwa Kultury i Sztuki w wysokości zł 100.— za figurki w cieście:

Konopka Maria — wieś Tatary, pow. Ostrołęka.

Wśród Korespondencji

Aby lepiej kierować gromadą

Od inicjatywy sołtysa i jego współdziałania z aktywem gromadzkim zależy w dużym stopniu realizacja zadań IX Plenum na wsi, wydobycie rezerw produkcyjnych w rolnictwie. Mówi o tym ciekawy list, jaki otrzymaliśmy od ob. Stanisława Pastuszka, ze wsi Benowo, gm. Ryjewo, powiatu kwidzyńskiego.

Pastuszek dobrze zna swoją gromadę i sytuację, w jakiej wypadło mu pracować. Wie o tym, że wiele zależy od jego pracy w przeprowadzeniu takich akcji, jak np. skup zboża, siewy itp. Daje nawet przykład: dopóki w sąsiedniej gromadzie Rudziny był dobry sołtys, gromada przodowała w skupie i kontraktacji; teraz wlecze się w ogonie, choć posiada lepsze zbiory i lepsze ziemie od gromady Benowo.

Benowo — to typowa wieś o średniej glebie i średnich możliwościach gospodarczych. Na 116 gospodarstw jest 43 do 3 ha, 13 gospodarzy powyżej 10 ha, dwóch — powyżej 20 ha. 75 proc. ludności — to autochtoni. Dużo jest rodzin chłopów-robotników.

W takiej gromadzie praca sołtysa nie jest łatwa. Ob. Pastuszek wyznacza sobie zwykle najpilniejsze zadania do przeprowadzenia: mianowicie — zadania organizacyjno-gospodarcze. W gromadzie już w 1948 r. zaczęła się regulacja gruntów. Nie jest ona przeprowadzona do dziś. Dlaczego? Czy to wina sołtysa? Nie. Starał się on bezskutecznie o załatwienie tej sprawy na wszystkich szczeblach. Skutek? W 1952 przyjechał mierniczy i rozpoczął przeprowadzanie pomiarów. Ale wkrótce wyjechał. Powrócił dopiero w październiku br. Po paru dniach znów wyjechał i zapowiada się, że nie szybko wróci.

To dezorganizuje pracę sołtysa i GRN. Bo nie wiadomo dokładnie ile kto posiada ziemi; klasa też jest nie określona. Dlatego nie można sprawiedliwie przeprowadzić rozdziału obowiązkowych dostaw. W tym roku skup przebiegał dobrze, choć związane z tym trudności były bardzo poważne. Jeżeli gromada jako całość, wywiązała się z obowiązków wobec państwa w terminie (nawet udało się urządzić masową odstawę), to jedynie dzięki pracy politycznej aktywu — pracy wyjaśniającej i propagandowej. Wprawdzie sołtys miał w związku z tym wiele kłopotów (m in. GS wypożyczył chłopom 170 worków podziurawionych jak sito); trzeba też było chodzić po domach i „obstalować" worki, oraz zapychać słomą dziury w mniej zniszczonych — wszystko jednak uwieńczone było dobrym skutkiem.

Ob. Pastuszek gospodarzy na 10 ha, z czego ziemi ornej posiada tylko 5 ha; reszta — to piasek, łąka i pastwisko. „Ciężko gospodarzyć na takiej ziemi — pisze. — Nie mam gdzie posadzić buraków, ani posiać pszenicy; mogę tylko sadzić ziemniaki i siać żyto. Ziemia marna, trzeba ją szczególnie dobrze pielęgnować i nawozić".

Korespondent pisze poza tym, że w roku bieżącym zbiory były nieco gorsze (w ozimych — około 20 proc.). Ale zdaje sobie sprawę dlaczego tak było. Oto pod zasiewy na wiosnę była stosowana tylko orka wiosenna. Nie była przeprowadzona akcja podorywek jesiennych. To wpłynęło na zbiory zbóż jarych.

Ob. Pastuszek nic nie pisze o pracy kulturalnej na wsi, o czytelnictwie, świetlicy, szkole. Te sprawy powinny go, jako sołtysa, bardzo obchodzić. Tym bardziej, że wieś składa się przeważnie z ludności autochtonicznej, z którą aktyw kulturalny powinien wiele pracować nad książką, gazetą, przez pogadanki i odczyty. Te zadania stoją przed nim i wsią.

BEG.

Dobra organizacja pracy — dobre wyniki

W naszej gromadzie brało udział w III etapie Konkursu Czytelników Wiejskich 106 osób. Byli to ludzie różnego pokroju społecznego, byli to chłopi, górnicy i pracownicy umysłowi.

Mieszkańcy naszej gromady to w większej części robotnicy pracujący w przemyśle i górnictwie, których żony prowadzą gospodarstwo. Ludzie ci po skończonej pracy zawodowej wiele czasu poświęcają pracy na roli; toteż mają bardzo mało czasu. Muszą oni dojeżdżać do pracy około 30 km pociągiem. Przystanek kolejowy mamy na miejscu w gromadzie.

Należy podkreślić, iż nasza gromada liczy zaledwie około 400 mieszkańców; liczba 106 czytelników jest bardzo duża.

Wzorem III etapu Konkursu czytelników wiejskich w Rudziczce postanowiono przystąpić do IV etapu. Ważnym czynnikiem w organizowaniu konkursu jest znaczna ilość książek w bibliotece, odpowiadających zainteresowaniom czytelników. Ważną rolę spełnia też bibliotekarz, który znając natury czytelników, podsuwa im pewne książki wg zainteresowań. Mamy punkt biblioteczny, w którym jest 100 książek, oraz książki naszej biblioteki świetlicowej. Książek w bibliotece świetlicowej mamy około 400.

W roku bieżącym postanowiliśmy zwiększyć liczbę czytelników stających do konkursu. Wybrano spośród najaktywniejszych w świetlicy i w LZS-ie 12-tu kierowników grup czytelniczych. Postanowiono, iż każdy zwerbuje do swojej grupy 10 — 12 czytelników. W organizowaniu konkursu nie pominięto żadnej organizacji.

Na szczególne wyróżnienie zasługuje tu Ochotnicza Straż Pożarna, która jest najaktywniejsza na terenie naszej gromady. Komendant tej organizacji, bardzo zainteresowany konkursem, wciąga do pracy innych członków straży. Dotychczas niektórzy z kierowników grup zwerbowali już nawet większą ilość czytelników, zobowiązując się dostarczać każdemu odpowiedniej ilości książek, gdy nie zdołają sami się w nie zaopatrzyć. Biblioteka czynna jest dwa razy w tygodniu. Obecnie wpłynęło już około 80 zgłoszeń; mamy nadzieję, że do końca tego miesiąca wykonamy swoje zadanie i zwerbujemy czytelników do liczby 120.

Praca kulturalna wymaga wiele poświęcenia; czasem trudno ludzi namówić do czytania książek. Duże zasługi w przełamywaniu tych trudności mają przodownicy czytelnictwa; jest ich na terenie naszej gromady wiele. W III etapie odznaczono 4-ch Złotą Odznaką Przodownika Czytelnictwa, 8-miu srebrną i 5-ciu brązową. Nieraz przodownicy zanoszą książki do domów tych, którzy już czytają „na zachętę"; zostawiają je też u tych, którym książka jest jeszcze obca; nieraz stają się z nich aktywni czytelnicy.

Czytelnictwo książek rolniczych przyczyniło się w niemałej mierze do tego, iż w czerwcu br. założona została na terenie naszej gromady spółdzielnia produkcyjna; jest jeszcze bardzo mała, lecz rokuje bardzo dobre nadzieje; dowodem tego jest przedterminowe wykonanie zasiewów i prac jesiennych.

To co napisałem, nie znaczy, iż w naszej gromadzie nie napotyka się trudności w pracy kulturalnej. Nasza świetlica gromadzka mieści się w dwóch normalnej wielkości pokojach w budynku należącym obecnie do spółdzielni produkcyjnej. Trudno jest więc zorganizować jakąś większą imprezę. Brak miejsca na zbudowanie sceny nie pozwala na ćwiczenia sztuk teatralnych.

W najbliższym czasie nasza straż pożarna ma zamiar budować nową remizę z salą, w której będzie można organizować: przedstawienia, zebrania i inne imprezy.

„Książka twoim przyjacielem" — hasło to jest w naszej gromadzie zrozumiałe prawie przez wszystkich obywateli. Pragnienia Adama Mickiewicza o zbłądzeniu książki pod chłopską strzechę urzeczywistniły się w Polsce Ludowej.

MORKISZ LUDWIK
Rudziczka, pow. Pszczyna

RYSUNKI JÓZEFA NYKIELA

ze wsi Szówsko pow. Jarosław, wykonane w czasie wakacji — przedstawiają prace w polu w jego rodzinnej wsi.



Żniwa



Sianokosy



Pierwsze odstawy



W spółdzielczym magazynie

Kronika kulturalna

Wszyscy kochamy śpiew. I żałujemy, że twórczość autorów współczesnej pieśni masowej nie wszędzie dziś jeszcze dociera. Cieszymy się za to, że dawna pieśń ludowa, wypierana przed wojną przez melodie i słowa piosenek kabaretowych, wydobywa się obecnie z głuszy zapomnienia. Przywracana ludowi powinna ona znaleźć właściwe miejsce w naszym stałym repertuarze; powinna stać się na nowo pieśnią powszechną.

W wyborze najlepszych pieśni pomoże Wam wydana ostatnio przez Państwowy Instytut Wydawniczy w opracowaniu Juliana Przybosia antologia polskiej pieśni ludowej „Jabłoneczka". Zawiera ona 674 pieśni wybrane spośród dwudziestu tysięcy pieśni ludowych zapisanych w ciągu przeszło 100 ostatnich lat. Są to pieśni najlepsze i pod względem artystycznym i ideologicznym: liryczne i epiczne, buntownicze, obrzędowe i miłosne, taneczne, pasterskie i żołnierskie itp.

W wyborze reprezentowane są wszystkie dzielnice etnograficzne Polski. Oprócz zachowanych właściwości gwarowych podhalańskich i kaszubskich oraz kilku pieśni w gwarze mazurskiej i śląskiej, teksty pieśni podane są w języku literackim, zrozumiałym i dostępnym dla wszystkich.

„Jabłoneczka" powinna znaleźć się w każdym zespole śpiewaczym, tanecznym i orkiestralnym, w każdej świetlicy. Powinien o to zadbać nasz aktyw kulturalno-oświatowy.

*

Coraz szerzej rozwija się w naszym kraju współzawodnictwo dla uczczenia II Zjazdu Partii. W podejmowanych zobowiązaniach nie zabrakło także wiejskiego aktywu terenowo-kulturalnego. Bardzo często jest on inicjatorem tych zobowiązań. Np. członkowie zespołu artystycznego z gromady Pieszkowo (pow. Górowo Iłowieckie) pierwsi w gromadzie zobowiązali się przeprowadzić kurs języka rosyjskiego, umasowić szeregi TPPR i pomóc w pracy kołom TPPR-owskim w okolicznych gromadach. Poza tym zespół artystyczny z Pieszkowa zobowiązał się rozwinąć pracę kulturalno-oświatową i masowo-polityczną, rozszerzyć jej formy — przyciągnąć do świetlicy wszystkich mieszkańców gromady. Zespół wezwał do współzawodnictwa wszystkie zespoły artystyczne w powiecie iłowskim.

Dotychczas na wezwanie odpowiedział zespół amatorski z grom. Grotowo. Członkowie tego zespołu zorganizują zespół czytelniczy, który weźmie udział w IV etapie konkursu czytelniczego.

Należy się spodziewać, że apel zespołu artystycznego z Pieszkowa nie pozostanie bez echa u pozostałych zespołów w powiecie iłowickim.

*

Radiowęzeł w Puławach (woj. lubelskie) włączył się do ogólnej akcji skupu. Chłopi stale otrzymywali wiadomości o przebiegu i stopniu wykonania obowiązkowych dostaw we wszystkich gromadach powiatu. Radiowęzeł puławski systematycznie piętnował opornych kułaków, przeciwstawiając im patriotyczną postawę chłopów mało- i średniorolnych, którzy przed terminem w stu procentach wywiązali się z obowiązkowych dostaw dla państwa. Puławski radiowęzeł mobilizował także aktyw świetlicowy w poszczególnych gromadach, aby w pełni włączył się do skupowej kampanii. Nic dziwnego więc, że powiat Puławy, jako jeden z pierwszych w województwie, został zwolniony od miarek i odsypów.

Natomiast radiowęzeł w Hrubieszowie w czasie kampanii skupu w swoim lokalnym programie zamieszczał suche komunikaty (o zaginionym inwentarzu, o mającej się odbyć zabawie itp.). O skupie wspomniał tylko dwa razy. W rezultacie powiat Hrubieszów wlecze się w ogonie w akcji skupu sabotowanego przez kułaków.

Członkowie komitetu redakcyjnego radiowęzła w Hrubieszowie — wyciągnijcie dla siebie wniosek z tych dwu przykładów!

Najwyższy czas wziąć się do roboty.

*

W PGR-ach w Nehrybkach (pow. Przemyśl) jest świetlica dobrze wyposażona w potrzebne materiały do pracy świetlicowej. Za 7 tysięcy złotych, którymi świetlica rozporządzała w tym roku, zakupiono szafę, radio, stoły, krzesła oraz potrzebne materiały świetlicowe. Przeszkolono na 6-tygodniowym kursie kierownika świetlicy. Istnieją więc takie warunki do pracy świetlicowej, jakich nie ma w innych PGR-ach.

Niestety — praca świetlicowa w PGR Nehrybka nie rozwija się. Świetlicą nie interesuje się w ogóle ani organizacja partyjna, ani koło ZMP-owskie. Nie ma ona żadnego planu pracy. W świetlicy dotychczas nie zorganizowano żadnego zespołu czytelniczego lub artystycznego, ew. redakcyjnego. Od czasu do czasu wychodzi wprawdzie gazetka ścienna, jest ona jednak redagowana wyłącznie przez kierownika świetlicy.

Żadnej pomocy świetlicy nie udzielił dotychczas ani Zarząd Powiatowy ZMP w Przemyślu, ani dyrekcja PGR-u. W PGR Nehrybka nikt nic nie czyta, gdyż nie ma w nim biblioteki. Widocznie zapomniała o nim także powiatowa biblioteka. Cóż dziwnego, że i wyniki pracy produkcyjnej PGR-u są nienajlepsze.

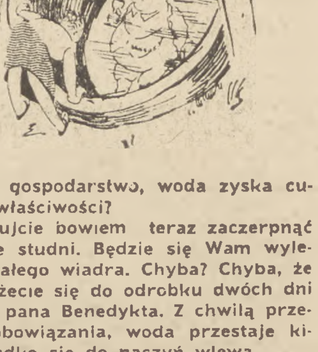
Obudźcie się pegeerowcy z Nehrybek! Apelujemy szczególnie do młodych ZMP-owców. Macie być przecież w przyszłości lepszymi gospodarzami PGR-u. Przecież pragniecie, żeby Wasze życie było coraz lepsze, piękniejsze i szczęśliwsze. Patrzy na Was młodzież z okolicznych indywidualnych gromad. Macie być dla niej wzorem.

SEW.

Gazetka gminna

Zaczarowana studnia

W gromadzie Cierlina, gm. Prontnica, pow. Nowe Miasto jest, proszę was, zaczarowana studnia. Stoi na podwórzu Benedykta Langego, właściciela — jeżeli wierzyć gminnym dokumentom — 15 ha niezłej ziemi. Studnię zbudowali chłopi jeszcze przed pierwszą wielką wojną, cała tedy gromada miała prawo czerpać z niej wodę. Któż jednak ze zwykłych śmiertelników mógł wiedzieć, że wraz z chwilą, gdy pan Benedykt



obejmie gospodarstwo, woda zyska cudowne właściwości?

Spróbujcie bowiem teraz zaczerpnąć wody ze studni. Będzie się Wam wylewać z całego wiadra. Chyba? Chyba, że zobowiążecie się do odrobku dwóch dni na polu pana Benedykta. Z chwilą przejęcia zobowiązania, woda przestaje kipieć, gładko się do naczyń wlewa.

W księżycowe wieczory, kiedy światło pada wprost na wodę, studnia odpowiada na pytania, zgaduje ludzkie myśli. Nie do wiary; przytrafił się jednak taki cud Irenie Łodzikowskiej. Przyszła w jasny wieczór do studni i myślała, czyja to własność — owe 25 ha nieużytków, przynoszące gromadzie ogromny dyshonor? Na wodzie ukazała się uśmiechnięta twarz Benedykta Langego.

Wobec tego zapytała kto w gromadzie dzierżawi ziemię, z której nie odstawia ani kilograma ziarna? Na wodzie pojawiła się znowu twarz pana Benedykta. I pozostała przy wszystkich następnych pytaniach: kto hamuje skup zboża, ziemniaków i mleka? Tyle tylko, że pan Benedykt raz liczył pieniądze, raz ręce zacierał z radości, to znów uśmiechał się.

Jedynie po ostatnim pytaniu obraz na wodzie zmienił się. Łodzikowska zapytała mianowicie, jakich przyjaciół ma pan Benedykt? W lustrze wody ukazały się postacie niektórych członków Prezydium GRN w Prontnicy. Tło stanowiła sala gospody GS-u. Na stole butelki i „zagrycha". I pan Benedykt się zjawił. Rozlał wódkę, poklepał tego i owego po plecach, wzniósł następnie jakiś toast.

Nie wierzycie? Spytajcie chłopów, bez zaglądania do studni.

Jan Biegała

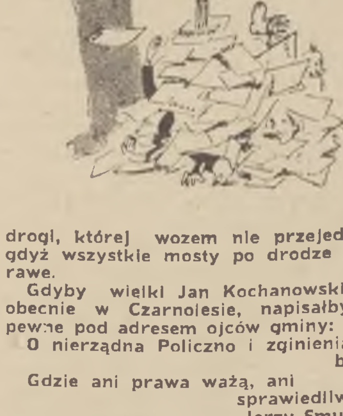
(Na podstawie listu mieszkańca Cierliny. Nazwisko znane Redakcji).

O nierządna Policzno!

Kazimierzowi Kucowi z Czarnolasu, pow. Kozienica przydarzyło się w ostatnich miesiącach wiele przykrości. Zachorowała mu krowa i co gorsza — zdechła. Można ją było wprawdzie uratować. Cóż kiedy należało wykonać decydujące zabiegi lecznicze w niedzielę, kiedy ob. Leżuchowski — lekarz weterynarii z Garbatki, akurat świętuje. Upadek krowy nie był przewidziany w GRN, nic tedy dziwnego, że Kuc został napiętnowany, jako oporny w dostawie mleka. Napisał prośbę o zniżkę w dostawach mleka, ale podanie zginęło, trzeba więc było zapłacić karę i jeszcze raz wnieść prośbę.

Działo się to w okresie wykopków, kiedy do Czarnolasu zjechała szeroko przez GRN reklamowana koparka. Kuc zgłosił się po maszynę. I spotkała go nowa nieprzyjemność. Za dzień pracy zażądano od niego 36 zł plus — 8 godzin odrobku. Od tego momentu kłopoty Kuca dzieliło już wielu chłopów z Czarnolasu.

Licząc przeciętnie, każdy z nich otrzymał 4 monity, wzywające do natychmiastowego uregulowania obowiązków wobec państwa. Monity nadchodziły co kilka dni. Trzeba było za każdym razem biegać z kwitami do GRN-u w Policznej i tłumaczyć, że Czarnolas nie zalega ani w skupie, ani w kontraktacji. Wcale niełatwa sprawa, jeżeli przyjmiemy pod uwagę, że do gminy 10 km



drogi, której wozem nie przejedziesz, gdyż wszystkie mosty po drodze dziurawe.

Gdyby wielki Jan Kochanowski żył obecnie w Czarnolesie, napisałby zapewne pod adresem ojców gminy:

O nierządna Policzno i zginienia bliska,
Gdzie ani prawa ważą, ani sprawiedliwość...

Jerzy Smutny

Na podstawie listu Kazimierza Kuca z Czarnolasu).

Czy ob. Jakubiec „wyzwoli się"?

Rzecz będzie o tym, w jaki sposób ob. Jakubiec — sekretarz prezydium GRN w Ostrzeszowie, pow Kępno, „wyzwalał się" z pęt własności i tysiąca kłopotów, związanych z posiadaniem.

Jakoś w 1949 roku przytrafiło mu się nieszczęście. Odziedziczył po swoim teściu Strześniaku gospodarstwo wielkości 15 ha. Uprawiać ziemię, hodować krowy i świnki, świadczyć na rzecz państwa, troszczyć się o maszyny, płacić podatki — za dużo to kłopotów jak na głowę ob. Jakubca. Tak więc postanowił „wyzwolić się" z trosk. Maszyny i inwentarz sprzedał, cegłę z zabudowań gospodarczych także, a ziemię tak zapuścił, że przypominała ugór, nie tknięty ręką człowieka od wieków.

Nie na tym koniec „wyzwalnia się" ob. sekretarza. Bądź co bądź zostało mu 3 ha ziemi, jako tako uprawianej. Niezależnie od tego, że przepisał je na żonę, nie chcąc mieć nic wspólnego z własnością, rozpoczął równocześnie „uwalnianie się" od obowiązków wobec państwa. Zmniejszał sobie np. dostawę ziarna systematycznie, dziś doszedł już do tego, że kiedy wyznaczy sobie 100 kg, nie oddaje już ani ziarnka.

Ale — godzi się podkreślić — ob. Jakubiec to nie egoista, gdyż z wielkim powodzeniem upowszechnia swoją metodę „wyzwalania się". Pozostałe 12 ha ziemi puścił w pacht swojemu szwagrowi, Adamowi Strześniakowi i Leonowi Rybarskiemu. Obaj dzierżawcy poszli w ślady swego mistrza. Adam, jako członek rodziny, poczynił większe postępy niż Leon. Rybarski wprawdzie „wyzwolił się" od świadczeń na rzecz państwa, ale ziemię uprawia. Strześniak, z zawodu ślusarz, jest nawet od jakiejkolwiek pracy na roli wolny.

Od jednego tylko dzielna trójka kumotrów „wyzwolić się" nie może — od społecznej opinii chłopów, która w sposób ostry piętnuje kumotrów zbratanych wspólnym lenistwem.

Jan Wichura

(Na podstawie listu mieszkańca gromady Ostrzeszów. Nazwisko znane Redakcji).

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 8-00-81.
Adres redakcji: Warszawa, pl. Starynkiewicza nr 7.
Telefony: Red. Nacz. 8637-86. Redakcji 870 61, wewnętrzny 13, 42, 70.
Warunki prenumeraty:
mies. — 4.60 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55,20 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
RSW „PRASA". Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. 4-B-22174